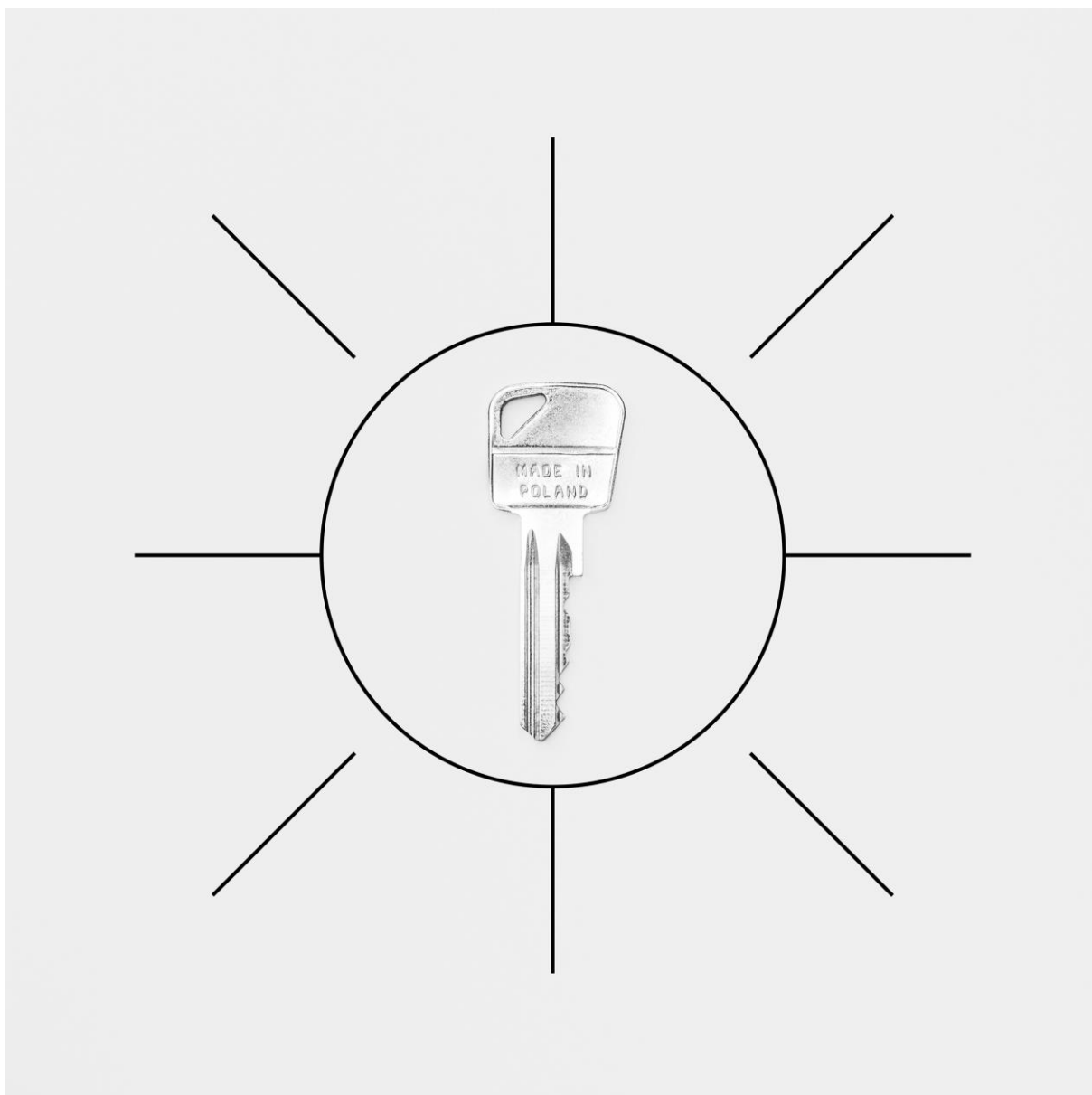




Aga Szuścik

Odkrycia czternastu dni



Odkrycie dnia pierwszego

Dom można zaprosić do siebie

Pandemia ujawniła odwieczny paradoks związany z przebywaniem w domu. Z jednej strony, ograniczone zamykającymi się drzwiami i oknami miejsce zamieszkania to nasze schronienie, azyl, baza, obiekt „zero”, punkt odniesienia dla wszystkich przemieszczeń. Tam, wśród swoich rzeczy, ułożonych tak, jak lubimy najbardziej, czujemy się i „u siebie”, i sobą. Większość naszych wyjść na zewnątrz wiąże się z przynajmniej delikatnym dyskomfortem – przecież tak często nie chce nam się przebierać szlafroka na dżinsy, wcielać w ukonstytuowaną rolę pracownika, ucznia, człowieka towarzyskiego czy przemykającego oko na niekulturalne zachowanie współpasażera w autobusie. W drodze powrotnej towarzyszy nam błoga myśl o tym, jak to rozluźnimy się i odpoczniemy. Kto z nas minimum raz w tygodniu nie ma ochoty zostać w domu, zamiast iść do pracy lub na uczelnię? Z drugiej strony, gdy wreszcie wracamy do siebie, praktycznie od razu powolutku zaczynamy dążyć do przeobrażania radości i ulgi w presję. Nie rozsiadamy się na kanapie po to, by spod koca wygłosić tyradę na temat magii miejsca, jakim jest dom. Zamiast docenić wygodny fotel lub skupić się na tym, jak cudowne jest to, że w naszych czterech ścianach możemy kontrolować ilość dopływających do nas bodźców, pozwalamy, by myśli zmieniły szlafrok na dżinsy i wyszły z budynku. Rozmyślamy o pracy, nieosiągniętych celach. Wściekamy się, bo my jesteśmy w kuchni, a masło, o którym zapomnieliśmy, w sklepie. Nauczono nas, że długotrwałe, jak to się żartobliwie mówi, kiszenie się w domu jest synonimem lenistwa i bezproduktywności. To bzdura, gdyż wielcy tego świata często byli lub są domatorami. Nie bierzemy z nich jednak przykładu. Mieszkanie dość szybko zaczyna nas przytłaczać, mierzą nas nogi, gdzieś byśmy się ruszyli. W rezultacie szczęście nieustannie wymyka nam się z rąk, a my wciąż za czymś tęsknimy. Zamiast przeanalizować powtarzane bezwiednie „dobrze tam, gdzie nas nie ma” i rozwikłać zagadkę tego paradoksu, po przekroczeniu progu własnego azylu automatycznie wędniemy, mamrocząc „znowu to samo, nie cierpię tej niedomykającej się szafki”.

Dlaczego w marcu, gdy zamknięto nas w domach, tak wielu z nas, zamiast rozsmakować się w byciu „u siebie”, przypomnieć sobie chwile, gdy w pracy marzyliśmy o kapciach i kubku ulubionej herbaty, skupiło się na tej drugiej stronie medalu? Nie mówię tu o mieszkaniach, z których z jakichś słusznych powodów pragniemy uciec, tylko tych, za którymi zawsze było nam tęskno. Czemu po latach gadania „ale bym posiedział na kanapie, a nie siedł tam, gdzie mam iść”, gdy wreszcie mamy taką możliwość, jesteśmy oburzeni? Jak to możliwe, że dzieciaki, których nie dało się oderwać od komputera, nagle przeżywają katusze, bo zamknięto place zabaw? Dlaczego przerwanie funkcjonowania teatrów tak boli tych dorosłych, co to ostatni spektakl widzieli z resztą klasy 2b i panią wychowawczynią? Odpowiedź jest prosta: wirus nie spytał nas o zdanie.

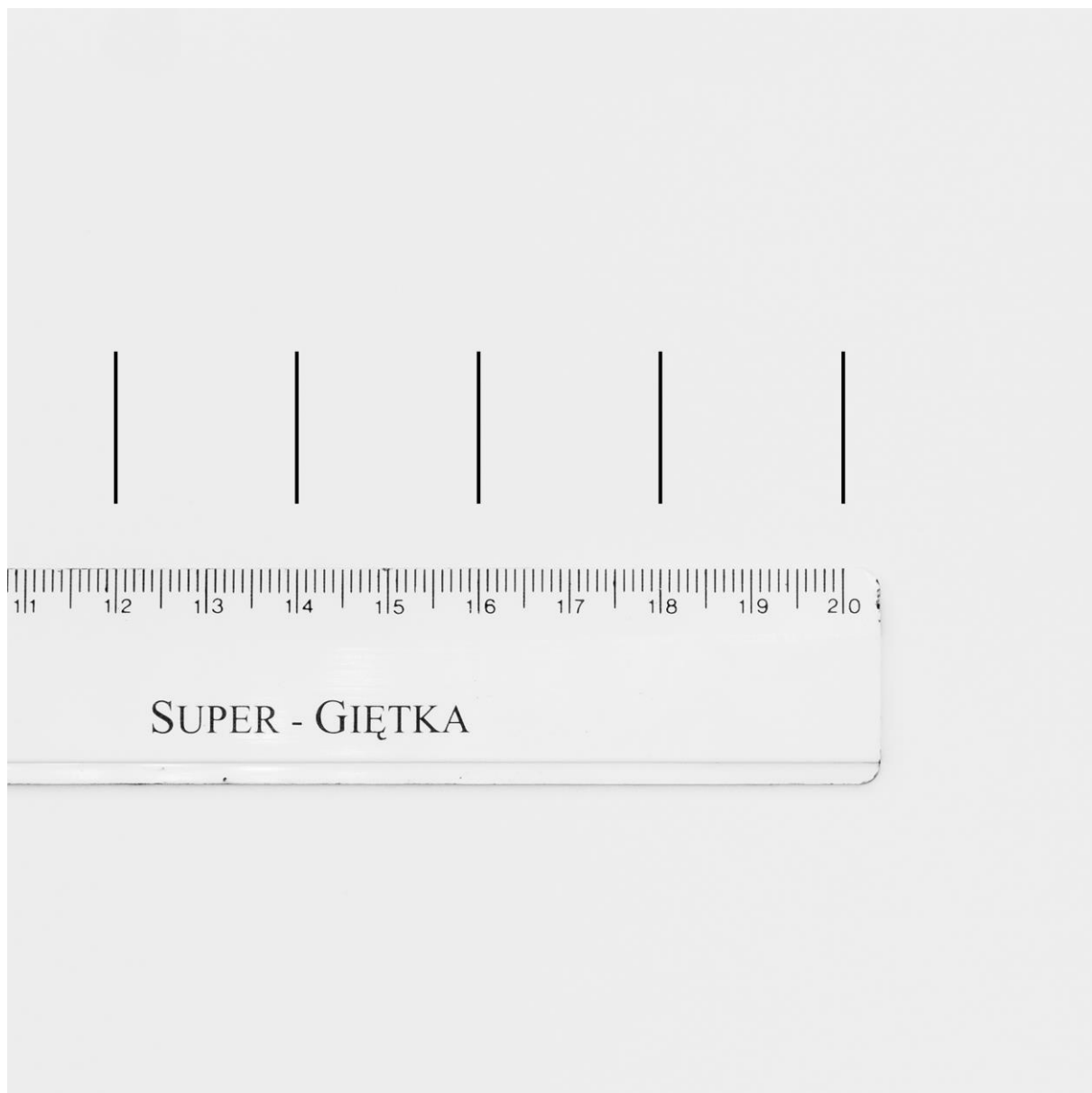
Nikt nie lubi, gdy odbiera mu się wolność, z której wcześniej korzystał. Czyż nie jest nam przykro, gdy w lodziarni dostrzegamy informację o tym, że skończyły się lody truskawkowe? Nagle okazuje się, że właśnie na ten smak mieliśmy ochotę... Gdy dwa lata temu rak odebrał mi możliwość stania się matką, cierpiałam katusze. Na widok dziecka w wózku wpadałam w histerię. W projekcie fotograficznym,

będącym dokumentacją mojej walki z nowotworem, jest zdjęcie, na którym trzymam dłonie na ciężowym brzuchu koleżanki. Bardzo przeżyłam spotkanie z nią w studio. Kilka miesięcy później moi bliscy zaczęli delikatnie mi przypominać, jak wcześniej wiele lat zarzekałam się, że nigdy nie będę chciała mieć dzieci – uwielbiam je, ale nie czuję instynktu. Powolutku wróciłam do siebie. Dziś dziwię się fotografii z brzuchem i żalowi, który czułam. Jestem prawie pewna, że genezą całej sytuacji, poza oczywistym strachem przed poważniejszymi skutkami choroby, był fakt odebrania mi samej możliwości, nawet jeśli nie planowałam z niej skorzystać.

Podobne iskry lecą, gdy ścierają się przerażenie dotyczące pandemii oraz ograniczenie wolności wychodzenia z domu. Poczucie niesprawiedliwości generuje buńczuczność. Gdy okazuje się, że wirus nie działa w sposób zaplanowany i celowy, gdyż jest bezmyślny, swój bunt automatycznie przekierowujemy na system i jego strażników. Kogoś trzeba obwinić, komuś zrobić na złość. Idę więc na plac zabaw, bo jakiś polityk nie będzie mi mówił, co mam robić. Wyśmiewam policjanta, sprowadzając zapobieganie rozprzestrzenianiu się COVID-u do przyczepiania się o jedno głupie wyjście do parku. Zsuwam maseczkę z nosa, bo noszę ją po swojemu i cześć. Powstają partyzantki – fryzjerska czy grillowa. Korzystający całe życie z wolności obcinania włosów w dowolnym terminie człowiek nie analizuje genezy swojej buńczuczności, gdyż nie rozumie charakteru wroga. Jeśli za ograniczeniem swobód stoi osoba, podejmująca krzywdzące na pierwszy rzut oka decyzje, funkcjonowanie podziemia zdaje się sprzyjać obaleniu tego, co złe. Takie myślenie jest jednak błędne od początku do końca. Ba, błędne i niebezpieczne. Gdy bowiem za serią przymusów stoi nie ludzka decyzja, a wirus, z zasady nie da się działać za plecami prowodyra zła. Koronawirus nie ma pleców. Ma natomiast rozmiar i budowę, które sprzyjają jego przenoszeniu się przy przycinaniu komuś grzywki lub braniu od kogoś gryza przypieczonej kiełbaski z musztardą. Trudno to jednak zaakceptować, bo system można obalić, polityka strącić ze stołka, a wirusa nawet nie widać gołym okiem. Zupełnie jak mojego raka. Pamiętam, jak bardzo chciałam dać mu w mordę po operacji, ale jego już nawet nie było. To świetnie, że czujemy się indywidualistami, że kochamy wolność i wiemy, czego pragniemy, jednak są sytuacje, które pozwalają na rozsądne działanie wyłącznie w konkretnych ramach.

Już od miesiąca siedzę w domu. Nauczyłam się prowadzić wykłady dla studentów do kamery, robić zakupy raz na tydzień, nagrywać audycje radiowe w sypialni, gotować podczas wideorozmowy z rodzicami, prowadzić streamingi, a nawet wypełniać wnioski o dofinansowanie. Odzwyczajam się od niekontrolowanego hałasu, jadania w restauracjach, przyjacielskiego dotyku czy tańczenia w klubie muzycznym. Przede wszystkim jednak, nauczyłam się doceniać moje cztery ściany. Powiedziałabym, że zaprosiłam dom do siebie, wpuściłam go do swojego środka tak, jak on przyjmuje mnie. Postanowiłam, zgodnie z jego definicją, uczynić go moim azylem, punktem odniesienia, miejscem idealnym. Przeniosłam nań mapę swoich myśli, marzeń i nawyków. Poczyliłam zmiany, dzięki którym żyje się wygodniej i przyjemniej. Zrealizowałam zaległe prace domowe. Zorganizowałam pełne poduszek i świec miejsce do pisania. Rozdzieliłam przestrzeń pracy i wypoczynku. Domowe biuro wzbogaciłam inspirującymi

zdjęciami i pamiątkami, które zabierają mnie w świat najmielszych wspomnień. W ogródku posadziłam truskawki. Na tarasie zrobiłam psu legowisko do ukochanego prażenia się w słończku. Słodycze oraz krem do stóp umieściłam na stałe w salonie, gdzie najczęściej z nich korzystam. Rozplątałam i uporządkowałam kable. Zamówiłam i zawiesiłam wymarzony wieszak na kieliszki. Wyjęłam maszynę – będę szyła ciemnozielone pokrowce na meble ogrodowe. Nie przeszkadza mi bycie zamkniętą w miejscu przytulnym, bezpiecznym, pełnym spokoju, urządzone zgodnie z moimi najbardziej szczegółowymi preferencjami. Żeby do tego dojść, musiałam jednak odbyć poważną i bardzo trudną rozmowę z moim wyobrażeniem pandemii: o jej skutkach, o bezpieczeństwie, o charakterze wirusa, o rozumieniu wolności osobistej, o działaniu wewnętrznego buntu, o moich możliwościach czasowych i finansowych. Było warto podjąć tę rękawicę. Teraz jestem w domu, a dom we mnie, przy mnie, dla mnie.



Odkrycie dnia drugiego

Warto zachować odległość

Nie pamiętam, kiedy ostatnio jechałam tramwajem lub autobusem. Ciekawi mnie, czy od takich rzeczy da się odzwyczaić. Mawia się, że jazdy na rowerze się nie zapomina – człowiek, który się tego nauczy, już zawsze będzie to potrafił. Bzdura! Do dziesiątego roku byłam zapaloną cyklistką. Później nastął piętnastoletni okres przerwy. Jako osoba dorosła usiadłam na siodełku, złapałam kierownicę, zaczęłam pedałować i chwiejąc się jak źdźbło na wietrze, ujechałam kilka metrów, by przewrócić się na zaparkowany samochód, stłuc sobie kolano i zedrzyć skórę z łokcia. Sądzę, że łatwo się do czegoś przyzwyczaić, lecz jeszcze łatwiej... odzwyczaić. Podróż środkiem komunikacji miejskiej nie wymaga specjalnych umiejętności utrzymywania równowagi, jednak każe prezentować szereg konkretnych cech i zachowań, takich jak niewpatrywanie się we współpasażera, ustępowanie miejsc seniorom, nieszturchanie innych osób, zachowywanie względnej ciszy. Czy trudne będzie odkopanie w sobie tych nawyków? Jak bardzo we mnie zanikły? Ostatnio czytałam, że pomrukiwanie i głośnie oddychanie osób, które słuchają muzyki na słuchawkach, może oznaczać, iż naturalny poziom głośności naszego ciała jest o wiele wyższy niż ten, na który umówiliśmy się w przestrzeniach publicznych. Ciekawe. W domu zachowujemy się swobodnie. Możemy wydawać dowolne dźwięki, siorbać gorącą herbatą i wciągać długi makaron, cmokając jak mrówkojad pałaszujący mrówki. Jak będzie przebiegać powrót do rygoru *savoir vivre*? Obecnie w kolejkach do sklepu odpowiednią odległość pozwalają utrzymać namalowane linie i przyklejone kółeczka. Czy po zakończeniu pandemii wrócimy do społecznego dystansu fizycznego sprzed miesięcy? Czy też już zawsze będziemy stali dalej od siebie, a ja nie będę mogła uczyć studentów, że dialogi dobrze pokazywać kamerą w planie amerykańskim, ponieważ taka szerokość widzenia odpowiada temu, co widzimy, na co dzień rozmawiając z innym człowiekiem? Czy zmieni się znaczenie słów „tłum” i „tłoczyć się”? Podając aptekarce pieniądze, uważam, by nie dotknąć jej dłoni swoją. Wcześniej nie zwracałam na to uwagi. Gdy niedosłyszę kasjera, z przyzwyczajenia nachylam się do niego, by zaraz przypomnieć sobie o nowej sytuacji, przeprosić i zrobić krok w tył. Ile już teraz jest w nas starych, a ile nowych nawyków?

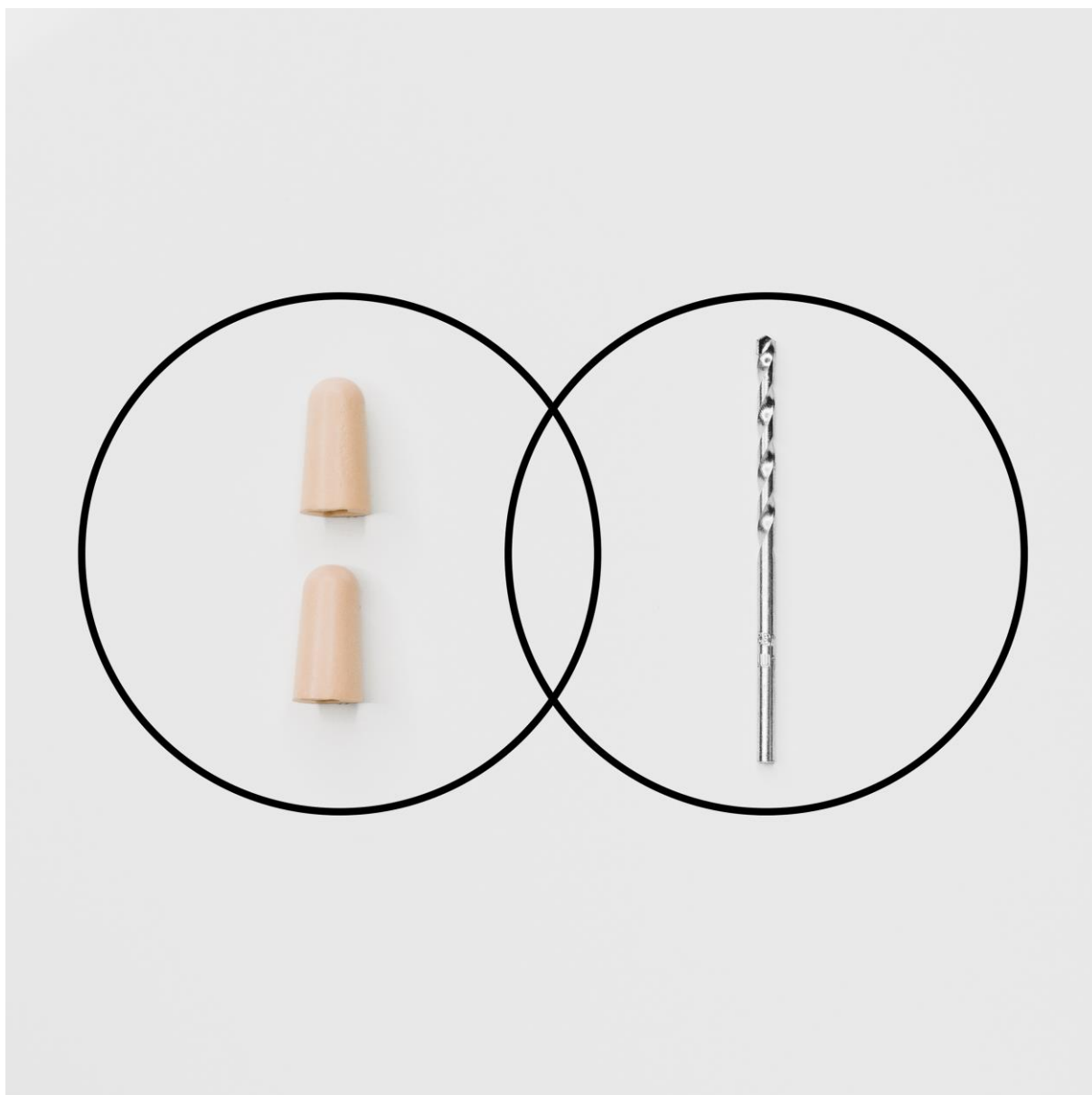
Dziś rano uświadomiłam sobie, że mimo oczywistego dysonansu poznawczego, związanego z osobliwością nabytych niedawno praktyk, odpowiadają mi one. Żyjemy w czasach bombardowania bodźcami. Oglądając telewizję lub skrolując media społecznościowe, łapiemy wodospady treści. Na ulicach: masa reklam, zdjęcia, napisy, światła, krzyki, śmiechy. Wiadomości, maile, telefony. Etykiety, listy przewozowe, regulaminy, przelewy. W hipermarkecie lub centrum handlowym po pół godziny pęka mi głowa. Mniejszy kontakt ze wszystkimi tymi bodźcami pozwala odetchnąć. Tak właśnie czuję. Krytyk tej postawy rzekłby zapewne, że pandemiczne ograniczenie hałasów i migających świateł to jedna strona medalu, bo teraz przecież więcej gapimy się w ekrany, najczęściej prezentujące feerię obrazków i tekstów. Cóż więc za różnica? A spora, Panie Krytyku, bo od monitora zawsze można odwrócić głowę, filmowi kliknąć „pauzę”,

a odpisywanie koleżance zawiesić na kwadrans bez żadnego tłumaczenia. Internet dawkować można łatwiej niż hałasy i kolory ulicy.

Zawsze odczuwałam dyskomfort, gdy w kolejce do kasy ktoś niechcący trącił mnie swoim wózkiem w pośladki. Irytuje się, kiedy trzeci raz odsuwam się od zapatrzonego za okno autobusowego współpasażera, którego luźno puszczone udo wciąż dotyka mojego. To nie tak, że boję się cudzego dotyku. Jak każdy, mam prawo do wolnej przestrzeni wokół mojego ciała. Naklejki i linie przypominające o odstępach ratują mnie od duszenia się w tłumie.

Kontrowersyjnym byłoby stwierdzenie, że człowiek ma za mało samotności. Czytałam, że w latach osiemdziesiątych statystyczny Amerykanin był w stanie wskazać troje osób pewnych, najbliższych, takich, za które się ręczy, co to przyjmą nas i pomogą w środku nocy. Bodajże kilkanaście lat później liczba ta zmniejszyła się do dwóch, natomiast od dłuższego czasu wynosi zero. Jesteśmy samotni w przebudźcowanym świecie. Nomadyzacja, powierzchowność relacji oraz skurczenie komunikacji do klikania automatycznych reakcji „ha ha” lub „wow” nie pomagają w czuciu się pozbawioną kompleksów, integralną częścią społeczeństwa. Chciałabym jednak zaproponować tezę, że mimo to dzisiejszy człowiek doświadcza za mało... bycia samemu. W domu, bez gości, po prostu, bez krzyczących promocji, bez klaksonów, bez skupiania się na niemruczeniu w tramwaju, bez „PIN i zielony” cztery razy dziennie, bez rozmów z tymi, którzy nie są najbliżsi sercu. Czyż nie brakuje nam chwil, w których możemy w pełni być sobą? Zamyślić się? Podłubać w uchu? W nosie? Pozwolić sobie na naturalny poziom głośności gardła i warg? Mam wrażenie, że dążenie do akceptacji swojego ciała i charakteru wymaga tego, by czasem po prostu ze sobą posiedzieć. Czytam pozornie luźne i żartobliwe komunikaty w mediach społecznościowych: „chyba nie wrócę do noszenia stanika”, „okazało się, że bycie samemu może być nienudne”. Moja teza zdaje się potwierdzać.

Pandemia uczy przebywać i docierać się z najważniejszą osobą w naszym życiu – sobą samym. Nieśpieszne, wydobyte z potoku bodźców przebywanie we własnym towarzystwie to żyzna gleba, na której rozkwita rozwój osobisty, kiełkują przemyślenia, pączkami pokrywa się nasze naturalne tempo życia, szeleści nieściszany niczym oddech. Potrzebujemy innych, to oczywiste, ale warto dla własnego komfortu zachować czasem odległość. Nie tylko tę w kolejce do kasy.



Odkrycie dnia trzeciego

Moja perspektywa nie jest uniwersalna

Wczoraj długo nie mogłam zasnąć. Pandemia generuje sporo stresu. Myślałam o moich zarobkach, zdrowiu i bezpieczeństwie rodziców, zdjęciach, które na dniach mam robić w jednej z firm – pracownicy muszą być na nich bez masek, więc je zdejmą. Po kolejnym przewróceniu się na drugi bok postanowiłam skierować myśli na coś lekkiego, sięgnęłam więc po telefon i zajrzałam do internetowej grupy o charakterze humorystycznym, a raczej prześmiewczym – grupowicze wklejają znalezione w internecie żenujące wypowiedzi, żeby reszta pośmiała się i złapała za głowę. Okazało się, że wszystkie publikowane tam ostatnio treści dotyczą koronawirusa, a dokładniej niestosowania się do zaleceń, mających na celu uniknięcie zarażenia nim. Oto jakaś kobieta napisała, że jej w maseczce jest niewygodnie, więc ona tego badziewia nosić nie zamierza – jak pozostali chcą, to niech sobie noszą, a od niej się odczepią. Ktoś inny poszukuje sali na pierwsze urodziny synka, które zamierza zorganizować w czasie pandemii, bo, uwaga, to będzie dobre, w żadnego wirusa nie wierzy, a bobasowi imprezę wyprawić trzeba i koniec. Skroluję dalej. Natrafiam na zdjęcie placu zabaw. Za zamkniętą furtką z kartką informującą o zakazie przebywania w środku bawi się tłum dzieciaków. Na ławkach obok siedzą ich matki. Furtka jest dość wysoka, więc mniemam, że siłą własnych rąk przełożyły one potomstwo na zakazaną stronę.

Dziś po śniadaniu narzeczony poprosił mnie, bym przycięła mu włosy. To już druga usługa fryzjerska, którą dla niego wykonałam. Znów poszło mi fatalnie, jednak o niebo lepiej niż za pierwszym razem. Z całą pewnością ograniczyłam ilość dziur, jakie wygoliłam niechcący. Podczas zabiegu opowiadałam Maćkowi o masieczkowym buncie, nielegalnie planowanych urodzinach oraz szturmie na zamknięty plac zabaw. Nadziwić się nie mógł. Nagle zadzwonił do mnie kolega. Gdy powiedziałam mu, że obcinam partnerowi włosy, zaproponował polecenie mi fryzjera, który po kryjomu przyjmuje klientów. Chodzi do niego wiele osób i nic złego nikomu się nie dzieje. Jak to usłyszałam, zamarłam. Po co te wszystkie ograniczenia? Na co ciągłe bębnienie o zagrożeniu i masieczkach? Jak mamy wygrać z pandemią, skoro setki ofiar śmiertelnych nie robią na niektórych wrażenia?! Co robić, gdy nad zdrowie własnej babci ludzie przedkładają fryzurę lub chwilę bujania się dziecka na huśtawce?

Zastanawiam się, co bym zrobiła jako wspierana opiniami ekspertów osoba wydająca takie rozporządzenia. Jak wyjaśnić opornym, że walczymy o bezpieczeństwo najbliższych? Kary finansowe? Rozwiązanie nieidealne, bo jaki mandat można wlepić matce, która przełożyła dziecko przez furtkę, by chwilę się pohuściło? Niezbyt wysoki. Więzienie? No przecież nie za organizację roczku lub obcinanie włosów we własnym salonie fryzjerskim. Zwiększenie środków na edukację? Bezcelowe, przecież bardziej niż obecnymi wszędzie słupkami śmiertelności nastraszyć się już nie da.

To wszystko jest skomplikowane. Nawet nie chodzi o to, że świat nie jest czarno-biały, tylko w odcieniach szarości. Istotą sprawy jest raczej nieskończoność różnorodności optyk. Każdy ma swoje poglądy, marzenia, przekonania, nawyki. To, co dla jednego białe, dla drugiego jawi się jako jasnoszare. Co dla mnie prawie

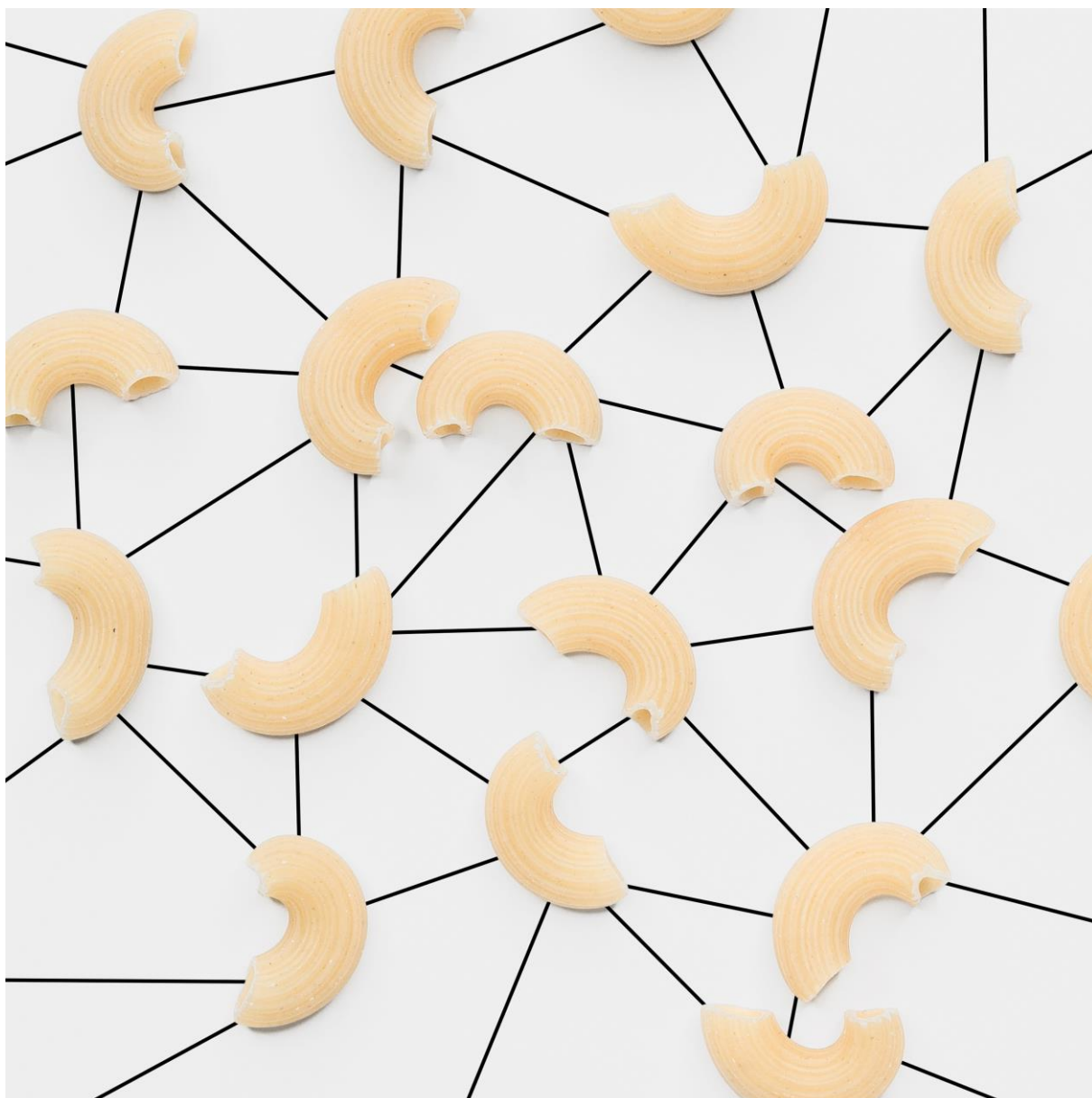
czarne, dla Ciebie śnieżnobiałe. Inaczej rozumiemy bezpieczeństwo, życie społeczne, zdrowie, miłość, przyjaźń, strach czy szczęście. Mamy różne systemy wartości. Moja mamusia zawsze powtarza „żyj i daj żyć innym”. To jej główna dewiza. Jak się żyje? Jak się chce. A jak daje się żyć innym? To pozornie proste: nie wtrąca się w ich gusta, nie narusza przestrzeni osobistej bez pytania, nie ogranicza ich wolności. Jeśli jednak ja rozumiem wolność inaczej niż mój sąsiad czy współpracownik, to kwestia „dawania żyć innym” staje się problematyczna. Dla osoby A dźwięk wiertarki nie jest absolutnie żadnym naruszeniem wolności – należy to zaakceptować, takie uroki bloku, a jak się nie podoba, to bardzo proszę, wyprowadź się do lasu. Osoba B nie tak rozumie wolność. Kupiła mieszkanie, rozumie potrzebę przeprowadzenia remontu, ale nie przez cały miesiąc i nie popołudniami. Osoba C umieszcza kontrowersyjne dzieło sztuki w przestrzeni publicznej. Powołuje się na wolność słowa i ambitny przekaz, ma do tego prawo – nie chcesz patrzeć, to odwróć głowę. Osoba D nie życzy sobie takich widoków, pragnie przegonić artystę do galerii, czuje się zmuszana do partycypowania w czymś, co nie jest jej w smak. Osoba E nielegalnie obsługuje klientów, obcinając im włosy. Nie zamierza stracić biznesu, dzięki któremu utrzymuje rodzinę. Jest popyt – jest podaż. Narzędzia są dezynfekowane, nikt nie kaszle, nie był ostatnio za granicą. Osoba F, w tym wypadku ja, próbuje sił w amatorskim fryzjerstwie na terenie własnej łazienki, ponieważ ona i jej narzeczony nie chcą, żeby przez ich próżność koronawirus bezobjawowo przenosił się i zabijał kolejnych ludzi. Przy odrobinie elastyczności, da się dostrzec oraz zrozumieć motywacje i argumenty wszystkich wymienionych, od A do F. Gdy różne optyki dotyczą spraw o wiele ważniejszych niż remont czy fryzura, robi się gorąco. Nie wydaje mi się, by dało się tego uniknąć.

Podczas pandemii wszyscy o wiele więcej siedzimy w internecie. Nie chodzi mi teraz o pracę zdalną, lekcje online czy rozmowy z bliskimi. Skrolowaniem wiadomości i mediów społecznościowych zastępujemy sobie przypatrywanie się przechodniom w przestrzeni publicznej. Ruch w sieci znacznie się zatem zwiększył – memy pojawiają się jak grzyby po deszczu, treści wcześniej pomijane robią po kilka okrążeń, komentarze i kliknięcia idą na rekord. Ostatnio moi znajomi pokłócili się o jedzenie kielbasy w autobusie. Temat wywołał kolega, żartując, że nie brakuje mu komunikacji publicznej, gdyż przynajmniej unika tego, jak to określił, smrodu. Głupkowaty wpis wywołał internetową wojnę. Krytyczni wobec spożywania wyrobów mięsnych w przestrzeni publicznej radykalowie zachowywali się jak nieczuli psychopaci, uważający, iż jedyna forma porządnego pasażera to taka, która przybiera postać manekina: milczącego, bezzapachowego, niewidzialnego. W swoich pozbawionych empatii wypowiedziach sugerowali, że wielogodzinne powstrzymywanie głodu jest cechą ludzi kulturalnych, a przecież każdy, absolutnie każdy marzy o tym, by być kulturalnym. Antagonistów cechował podobny poziom absurdu. Oto cały świat powinien z radością urządzać kielbasiane pikniki w autobusach, tramwajach i pociągach, mlaskaniem i chrupaniem chwalać przepyszny smak zamkniętych w jelicie, doprawionych czosnkiem, mięsnych mieszanek. Ot, na tym wolność polega! Możesz jeść, co chcesz, ściągnąć buty,

włączyć głośnik i puścić muzykę, śpiewać i tańczyć. Tych, którym to przeszkadza, nieuprzejmie odsyła się do prywatnych samochodów. Gdy w internetową wojnę włączali się poszukujący złotego środka, walczący po obu stronach obrzucali ich błotem, sugerując niejasność w poglądach oraz usilnie przypisując postawę którejś ze stron. Często wystrzeliwano pociski indywidualnych, emocjonalnych historii, na przykład o ukochanej babuni, której odwieczną pasją jest masarstwo. Rzucano granaty dymne w postaci słów typu „ohyda” czy „wielcy państwo”. Odpowiadano ogniem nadinterpretacji. Cały czas chodziło o... kielbasę. Chyba.

Patrzyłam na to wszystko z niedowierzaniem. Nie pojmowałam konfliktu, rozumiałam natomiast każdą ze stron. Wyobraźmy to sobie. Osoba G właśnie wyszła z pracy. Dziś miała taki natłok zajęć, że nie zdążyła pójść na lunch. Z domu nic nie wzięła, ponieważ zasnęła. Wychodzi z biura, widzi nadjeżdżający autobus. Wbiega do niego, by jak najszybciej dotrzeć na swoje osiedle, skoczyć na zakupy i udać się do domu. Kiszki grają marsza jak nigdy dotąd. Akurat tego dnia koleżanka z pracy przyniosła jej swojską kielbasę od babci, tej z masarską pasją. Osoba G sięga do torby. Tylko kawałeczek, bo z tego głodu już głowa boli. Tym samym autobusem jedzie osoba H, wegetarianka. Od dziecka ma wyjątkowo wyczulony węch i słuch. Co więcej, cierpi na mizofonię. Sama ją mam, więc wiem, co mówię. Każde chrupnięcie czy młsańnięcie irytuje jak diabli. Osoba H również wraca z pracy. Też jest zmęczona. Ostatnim, co chciałaby teraz zobaczyć, usłyszeć i poczuć, jest osoba G, wcinająca pachnące czosnkiem mięso. Oto paradoks przestrzeni publicznej: ktoś może jeść kielbasę w autobusie, bo to przestrzeń publiczna, komuś to może przeszkadzać, bo to przestrzeń publiczna. Przestrzenią publiczną jest także internet, w którym o wiele łatwiej się odezwać, kogoś o coś oskarżyć, komuś dopiec. Rozumiem obie strony. Moje myślenie nazwałam rozumieniem ambiwalentnym. Co więcej, za każdym gryzem kielbasy czy irytacją z tego powodu stoją indywidualne historie: wilczy głód, mizofonia, ciężki okres, zły dzień. Pandemia sprawia, że dużo o tym rozmyślam i oto postanawiam już zawsze starać się brać pod uwagę fakt istnienia osobistych problemów i okoliczności, towarzyszących i wierceni, i denerwowaniu się o nie. Wciąż nie potrafię pojąć, jak podczas pandemii, która zabija niewinnych ludzi, można przekładać dziecko przez zamkniętą furtkę. Moja perspektywa nie jest jednak uniwersalna, tamta matka kieruje się własnym myśleniem. Jest inną osobą.

Zachowanie innych wpływa na moje bezpieczeństwo. Moje zachowanie wpływa na bezpieczeństwo innych. Inni roszczą sobie prawo do swobodnego działania. Ja roszczę sobie prawo do swobodnego działania. Robimy, co możemy, by żyć i dać żyć innym, ale nie ma szans, by nie łamać granic wolności, nawet gdy na zamkniętej furtce wisi kartka, jak ta o zamknięciu placu zabaw.



Odkrycie dnia czwartego

Wszyscy jesteśmy połączeni

Przed pandemią zakupy robiłam na bieżąco, kierując się tak zwaną ochotą: dziś mam ochotę na naleśniki ze słodkim serem, a dziś – na pstrąga z opiekаныmi ziemniaczkami. Nie wiem, jak to możliwe, że wyrzucając wskutek tego mnóstwo jedzenia i pieniędzy, uważałam się za rozsądną, proekologiczną obywatelkę świata. Zachłystywałam się chwilą, skupiałam się na szczególe, nie łączyłam kropek. Wylewając do sedesu pół garnka chłodnika, bezrefleksyjnie stwierdzałam, że po prostu za dużo ugotowałam. Ze sklepu spożywczego i własnej kuchni korzystałam jak z restauracji, w której składa się zamówienia.

Chcąc trzymać się jak najdalej od wirusa, zminimalizowałam wyjścia na zakupy do cotygodniowych. Widzę, że inni robią podobnie. Zakupy w czasie pandemii to ciche, szybki pochód z koszykiem, bez myszkowania w asortymencie, ze strategicznym rozdzielaniem się, które ma skrócić czas spędzony w miejscu publicznym: „idź po mleko, ja wezmę owoce”. Jest dziwnie. Nikt nie mówi pod nosem, że te pomidory to takie nie za ładne, starsze panie nie proszą o przeczytanie ceny, dzieci nie grają odwiecznego spektaklu pt. „Kup mi”. Sklep przypomina ulicę, na której przechodnie po prostu się mijają. Uwagę zwraca cisza przy lodówkach z wędlinami. Nie padają pytania o to, co teraz najsmaczniejsze. Zamiast Pani Marioli, jest połyskująca przyłbica. Panią Lucynkę zastąpiła biała, budowlana maska przeciwpylowa. Żeby zachować choć cień wrażenia spotkania drugiego człowieka, po cichutku wyobrażam sobie męża Pani Lucynki, który stoi na taborecie i grzebie w pawlaczu: „Lucyna! Mam! Mówiłem ci, że gdzieś przeciwpylówkę schowałem, wtedy, jak robiliśmy przedpokój. Widzisz, a ty mi wszystko każesz wyrzucać”. Z zamyślenia wyrrywają mnie słowa: „nie rozumiem pani przez tę maskę. Dwadzieścia deko czego?” Przy kasie jest zupełnie inaczej, gwarno i ruchliwie, jak na mecie osobliwego maratonu. Automatycznie kasujący zakupy Pan Robert już nie irytuje nierozpoznawaniem egzotycznych owoców. Klienci ze współczuciem obserwują go zamkniętego w domku z pleksi. Kilka razy słyszałam, jak dziękują za odwagę i chęć do pracy. To miłe, tylko czy biedny Pan Robert ma jakiegokolwiek wyjście? A Pani Lucynka? Może mąż mówił jej, żeby nie szła do pracy, ale ona się uparła, bo opłat za czynsz i leki pandemia nie odwoła?

Od dwóch miesięcy w każdy czwartkowy poranek Maciek zasiada z długopisem i kartką do sporządzania listy. Ja sprawdzam zawartość lodówki oraz szafek, a także planuję obiady na następnych siedem dni i dyktuję memu zakupowemu sekretarzowi wszystkie potrzebne produkty. Każdego dnia, pierwszeństwo do bycia składnikiem śniadania bądź kolacji mają najbardziej dojrzałe warzywa oraz nabiał ze zbliżającą się datą końca przydatności do spożycia. Wczoraj na obiad upiekliśmy pizzę. Nie chodzi nawet o to, że mamy spore zapasy mąki i przecieru pomidorowego. Pizza to ekwiwalent sprzątania lodówki, danie chłonne i elastyczne. Placek przystroiliśmy wszystkim tym, co nie pasuje do kolejnych planowanych posiłków. Dziś, we wtorek, na śniadanie zaserwowałam jajka na szparagach w cieście francuskim. Eleganckie, modne danie było tak naprawdę wypadkową lodówkowych realiów: szparagi zaczynały już więdnąć, ciasto również miało kilka dobrych dni. Zrezygnowałam z sosu holenderskiego, bo szkoda mi kolejnych jajek. Z reszty ciasta i dogorywających już

pozostałości twarogu upiekłam trójkąci z serem na słodko. Będą na drugie śniadanie.

Czy pożegnanie gotowania podług spontanicznych ochot przywiodło do mojej jadalni nudę? Czy wcześniejsze przyrządzanie indywidualnie planowanych obiadów pozwalało mi się czuć wolniejszą? Absolutnie nie. Czuję dumę z nadania mojej kuchni szerszego sensu funkcjonowania. Zaplanowane menu i porządek w lodówce pozwalają mi czuć się bezpiecznie. Produkty spożywcze stały się częścią przemysłanej całości, zapewniającej każdemu z nich wartościowy udział w realizacji przepysznych zamierzeń. Wbrew pozorom, moja ochota nie ucierpiała, gdyż oto awansowałam na twórczego wirtuoza kulinarnego.

To, co dzieje się w skali lodówkowych półek, okazuje się w prosty sposób pokazywać zmiany, jakie pandemia zaprowadziła w podstawowych kwestiach mojego życia. Moje rozmyślenia o bezpieczeństwie zawsze dotyczyły – oby socjologowie nie obrazili się za to określenie – własnego podwórka. Wewnętrzny spokój miał być skrzętnie wyliczoną sumą wyznań miłości ukochanego, kwot na fakturach wystawianych klientom, podpisów na akcie notarialnym własnego mieszkania i dobrych wyników w dokumentacjach medycznych: mojej, najbliższych i psa. Oczywiście widziałam to wszystko w szerszej perspektywie, w końcu moja codzienność stoi przy uchylonych drzwiach do świata mechanizmów społecznych i rynkowych oraz wielkiej maszyny ekonomii i polityki. Tak, wiem, Maciek ma własną wolę, praca freelancerki jest ryzykowna, kredyt hipoteczny to wieloletnie zobowiązanie, medycyna ma swoje ograniczenia. Mimo to moje podwórko zdawało mi się być samotną wyspą. Długo panował tam względny spokój. Narzeczony każdego dnia mówił „kocham cię”, moja kariera kwitła, własne „m” wśród łąk i lasów wciąż jawiło się jako wspaniała decyzja, wszyscy byli zdrowi. Reszta świata funkcjonowała sobie po swojemu. Z mojej maluczkiej perspektywy za tymi uchylonymi drzwiami odbywała się spokojna rozmowa przy stole, skutkująca zmianami powolnymi, łatwymi do przewidzenia. Krachu i rewolucji bałby się przecież tylko zamartwiający się na wyrost panikarz, a ja od dawna już do takich się nie zaliczam. Okazało się jednak, że nici łączące moje osobiste poczucie bezpieczeństwa z wielkim światem zza uchylonych drzwi są mocne, krótkie i wiecznie napięte. Oto metaforyczne postacie, które zniżonym tonem rozmawiały przy stole, wstały i podniosły głos, a ja zrozumiałam, że ów wewnętrzny spokój wynikający z poukładania spraw na własnym podwórku ma szerszą perspektywę. Dziś nazywam ją bezpieczeństwem cywilizacyjnym.

Ludzie, którym nie w smak wysiłek dźwigania złożonego, pełnego sprzeczności i logicznych dziur opisu rzeczywistości, lubią teorie spiskowe. Te łatwo wyjaśniają rzeczy straszne, niezrozumiałe, niezależne od nas lub będące porażką całej ludzkości. Fakty takie jak te, że wciąż nie wynaleźliśmy uniwersalnego leku na raka, grawitację ciężko ogarnąć umysłem, a pochodzenie autyzmu nie jest do końca wyjaśnione, wygodnie zganić na chciwość koncernów i wielkich polityków. To odbiera wiarę w ludzi, ale mimo wszystko pozwala czuć się bezpieczniej. Polecznik nauki żyje wśród niewiadomych, dziwując się przypadkom, trudami

odnajdując szczęście w świecie pełnym niesprawiedliwości, a taki płaskoziemiec czy antyszczepionkowiec jasno określa swoje miejsce na świecie – jako niedającego sobą manipulować wojownika z podziemia, wyposażonego w tajemną wiedzę przeciwnika błędzających mas. Interpretacja pandemii jako spisku to luksusowa wygoda – wirusa nie ma, nic nam nie grozi. To jednak nieprawda. Wirus hula. Jest niebezpiecznie.

Nie wyrzucam już jedzenia. Zamknięta w domu, zaczęłam myśleć o ilości śmieci i zużywanej wody. Praktycznie całkowicie zrezygnowałam z mięsa. Czyż właśnie do tych refleksji nie próbują nas zachęcić zwierzęta coraz odważniej odwiedzające opustoszałe miasta i plaże? Nie czuję się antagonistką świata. Zawsze uważałam się za równoważną z innymi częścią społeczeństwa, kultury, cywilizacji. Ziemi nie zamieszkują tajemniczy oni, tylko ludzie, tacy jak ja czy Ty. Poza nielicznymi wyjątkami, każdy próbuje jak najlepiej i jak najdłużej przeżyć swoje życie, każdemu na czymś zależy, każdy czasem się boi, ma ulubioną potrawę czy piosenkę z dzieciństwa. Każdy choć raz się zakrztusił czy niechcący wypluł kawałek przeżuwanego jedzenia, każdy przeżył rozwolnienie. Wizja nauczyciela matematyki robiącego kupę rozśmieszy ucznia podstawówki do łez. Dorosły zawstydzi się, wyobrażając sobie swojego przełożonego mającego orgazm. Tak jednak właśnie jest – wszyscy jesteśmy ludźmi. Żeby współdzielić glob, wymyśliliśmy, że będziemy żyli razem, wymieniając się dobrami, umiejętnościami, dotykiem i słowem. Zakładam, że, mimo oczywistości sporadycznych kryzysów, Ty również wolisz żyć w społeczeństwie niż poza nim.

Pandemia poważnie naruszyła poczucie bezpieczeństwa cywilizacyjnego, z istnienia którego, działając w obrębie własnego podwórka, wielu z nas nie zdawało sobie nawet sprawy. Narzekamy na ciągłe zmiany zasad gry, chaos informacyjny, zbyt małą ilość testów, brak przygotowania służby zdrowia. Za wszystkie te sytuacje odpowiedzialni są jednak po prostu ludzie – ludzie, których zaskoczyła pandemia, ludzie, którzy nie są pewni, które rozwiązanie będzie najlepsze, ludzie, którzy też się boją.

Żeby wspólnota działała, żebyśmy potrafili o nią dbać, musimy zdawać sobie sprawę z tego, że składa się ona z malutkich elementów, którymi jesteśmy. Każdy ogromny ruch to tak naprawdę wiele mniejszych poczynań. Nawet wielkie jednostki nie mają czego szukać na świecie, jeśli nie mają popleczników. Ja jestem szparagiem. Ty – ciastem francuskim. On – jajkiem. Ona – twarogiem. Wspólne funkcjonowanie pozwala nam lepiej realizować indywidualne plany, pozwala w pełni wyrazić i osiągnąć cele, wydobywa nasz wartościowy i unikatowy smak. Nawet jeśli nie poukładaliśmy tego świata najlepiej i dopiero teraz zorientowaliśmy się, że myśleliśmy zbyt indywidualnie, wciąż, małymi krokami, każdy z nas może zacząć nadawać szeroki sens wspólnocie.



Odkrycie dnia piątego

Masz wielu bliskich, tylko ich nie dostrzegasz

W przeddzień zakupów, czyli w środy, obiad rozmrażamy z pokrytych szronem zapasów. Po siedmiu dniach wszystkie świeże produkty są już bowiem zjedzone. Wierz lub nie, ale dokładnie kontroluję zawartość zamrażarki. Fach ów zdobyłam dopiero z początkiem pandemii. Wcześniej ten najzimniejszy kuchenny schowek funkcjonował jako czarna dziura, pochłaniająca mrożonki kupione nie wiadomo po co oraz nadprogramowe mamine gołąbki i kotlety. Wciąż coś dokładałam, jednocześnie nic nie wyjmując. Przerastała mnie perspektywa przekopywania się przez niezidentyfikowane worki i słoiki lub po prostu zapominałam o umieszczonych tam produktach i potrawach. Z chwilą nadejścia zalecenia niewyściubiania nosa z domu, zrobiłam gruntowne porządki. Wyrzuciłam prabigos i praleczo, zadbałam o podpisy i przemyślany układ. Regularnie mrozę wszelkie nadwyżki, miejsca jednak nie brakuje, gdyż chętnie korzystam z zapasów. Zupa pomidorowa czy smażone pieczarki z zamrażarki to gwarancja dodatkowej godziny na odpoczynek lub pracę. Oszczędzam czas i pieniądze.

Dziś środa właśnie. Maminy bigos rozmraża się od wczoraj. Gdy wyszłam rano z sypialni, uderzył mnie specyficzny, kwaśno-stęchły zapach. Kapusta to jedna z tych potraw, które, choć pyszne, wonią potrafią zabić. Magia polega na tym, że ten nieprzyjemny aromat u większości Polaków budzi cudowne wspomnienia. Zaspana stanęłam nad tonącym w kałuży wody workiem. Zaczęłam rozmyślać o tym, jak to możliwe, że coś, co jeszcze wczoraj było bezduszną kostką lodu, dziś przypomina mi o wieczorach w domu rodzinnym, zwraca na siebie uwagę połyskiwaniem nieregularnie pokrojonych kawałków, kojarzy się z chlebem, który moja mama zawsze kroїła tak cieniutko, z konkretnym kształtem widelca, duraleksowym talerzem. Zadzwoiłam do mamy, żeby powspominać z nią bigosowe wieczory.

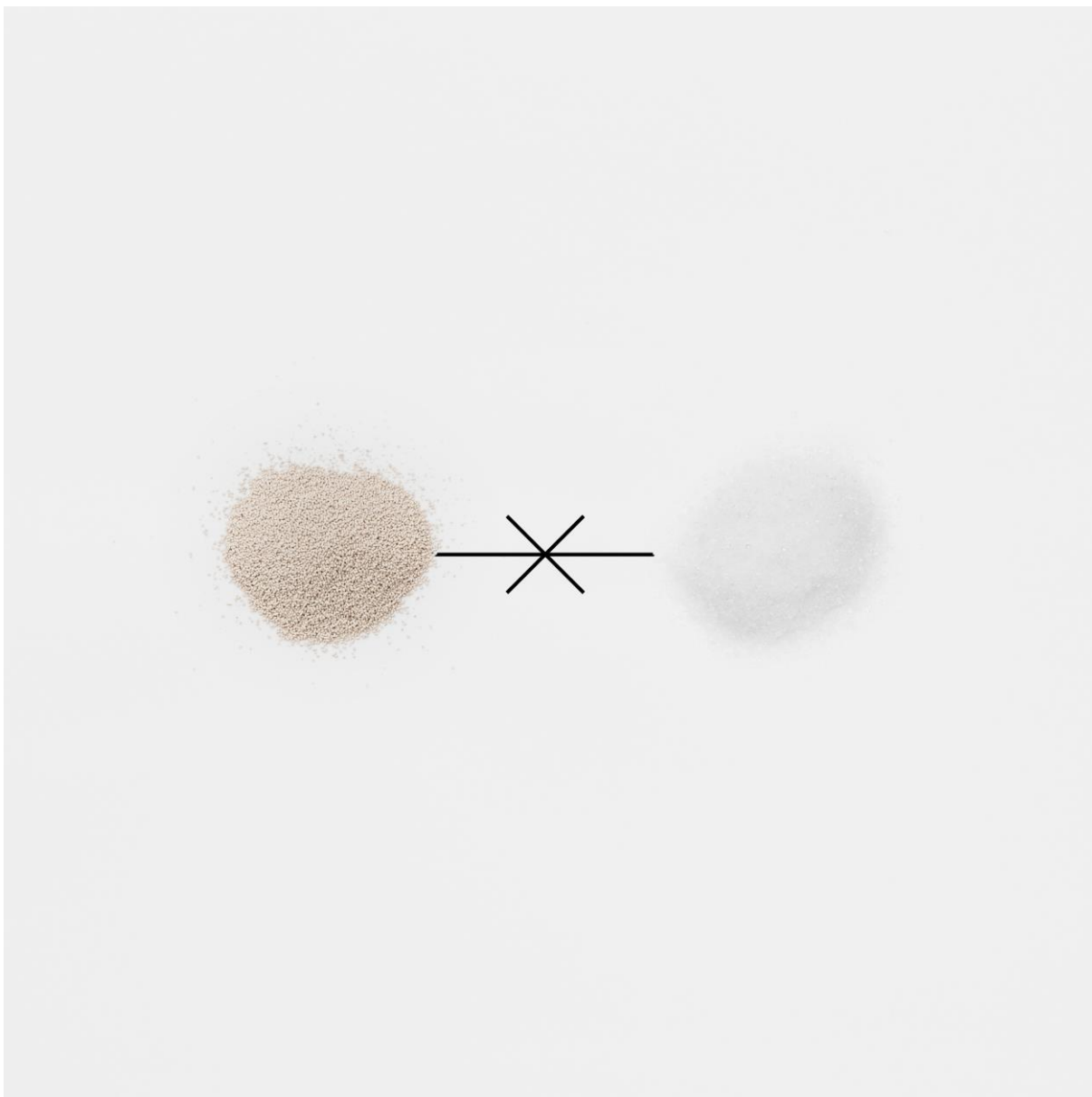
Siedząc wciąż w domu, bardzo dużo rozpamiętuję. Zawsze byłam sentymentalna, ale teraz przechodzę sama siebie. Ożywają i porządkują się wspomnienia, z którymi nie miałam kontaktu od wielu lat. Ba, wizje stają się wyraźne jak nigdy – dokładnie czuję zapachy, szczegółowo widzę kolory. Intensywna codzienność trzymała w zamrażarce rodzinne wakacje, włączenie się po lekcjach, pierwszy pocałunek, przyjaciółkę z dawnych lat. Nieprzerwany pęd spraw bieżących pozwolił chwilom i osobom, które stworzyły moje jestestwo, pokryć się szronem. Biegając z miejsca do miejsca, zdawkowo odpisywałam na wiadomości od bliskich. Nie myślałam o nich, traktując kontakt z nimi jak tę grę, w której wiewiórki wychylają łby z dziur i trzeba nadążyć, by zareagować. Gdy ktoś wrzucił InstaStory, spytał mnie o coś, polubił mi post, minął mnie na ulicy lub imprezie, nawiązywaliśmy kontakt wyłącznie na moment. Teraz uporządkowałam świat ludzi, którzy grają ważne role w moim życiu. Do jednych chętnie piszę lub dzwonię, ciesząc się z miłych reakcji, drugim pozwalam pozostać we mnie jako wspomnienie, sympatia z zaniechaną potrzebą odwzajemnienia. Początkowo trudno jest ruszyć skute lodem słoje i worki. Spojrzeć im prosto w oczy. Przyznać, że się o nich zapomniało. Czasem nawet poznać na nowo – na przykład jak wtedy, gdy jesteś w połowie czasu gotowania makaronu spaghetti, a rozmrażany sos boloński okazuje się chili con carne (stało mi się tak tydzień temu). Szybko jednak okazuje się, że ociekający wodą, doprowadzony do temperatury pokojowej worek pełen jest

dobroci. O wiele więcej dzwonię do rodziców. Bardzo ich kocham. Rozmawiam przez telefon lub internet z przyjaciółmi i znajomymi. Czuję się częścią ich świata. Odezwałam się do kilku osób, z którymi kontakt urwał się z losowych przyczyn. Okazało się, że oni również za mną tęsknią.

Myślę, że gdyby nie pandemia, nie przypomniabym sobie o tym, że przez lata na moim biurku w domu rodziców regularnie gościły konwale, które przywoził mi tata, że na wakacjach w Międzybrodziu codziennie kupowałyśmy z Magdą chleb i paprykarz, by od razu pochłaniać je na murku za sklepem, że jako nastolatka uszyłam sobie całkiem niezłą spódnicę z za dużych ogrodniczek. Nowa, pandemiczna codzienność nie wymusza ode mnie nieustannego kierowania uwagi na zewnątrz, toteż zaczęłam zerkać wewnątrz siebie.

Gdy wieszczono zamknięcie wszystkich w domach, oblał mnie strach związany z brakiem kontaktu z bliskimi. Teraz jednak wcale nie czuję się samotna. Zabawne: gdy nikogo nie widuję, czuję się bliżej rodziny i przyjaciół niż wcześniej. Chyba za bardzo skupiałam się na obustronnym potwierdzaniu aktualności relacji i dopasowywaniu ich do społecznych stereotypów ludzi regularnie widujących się ze sobą, zamiast pozwolić niejako istnieć tym ludziom we mnie i sobie samych. Może to właśnie brak świeżych kontaktów skłania mnie do zajrzenia do zamrażarki w mojej głowie? Zwierzyłam się z owego nostalgicznego nastroju kilku osobom. Wszystkie przyznały, że mają tak samo. Dowiedziałam się, że zwykły deszcz bijący w szybę ostatnio przywołał u koleżanki wspomnienie wielkich letnich ulew na wsi u babci. Znajomy pisze mi, że zapach kremu stosowanego od kilku lat nagle wywołał odkrycie: „już wiem, co to za zapach! Mojej pierwszej dziewczyny!” To sentymenty dotkliwe, przejmujące, ale niebudzące rozpacz. Co się właściwie dzieje? Czy dotknięty silną, dotyczącą praktycznie wszystkich sfer życia tęsknotą człowiek po prostu zabija poczucie braku wspomnieniami? Czy może rzeczywiście nareszcie mamy czas na docenianie tych, którzy są lub byli w naszym życiu ważni?

Mam wrażenie, że nie brak fizycznego kontaktu z innymi czyni nas samotnymi. To niemożność pochylenia się nad grupą osób ważnych w przeszłości i teraźniejszości odbiera nam poczucie bycia ważnym dla innych. Już nie pozwolę nikomu na bycie mrożonką w mojej głowie. Idę znowu zadzwonić do mamy.



Odkrycie dnia szóstego

Nie ma miłości bez dobrej komunikacji

Media społecznościowe pełne są obecnie zdjęć domowego pieczywa, zwykle opatrzonych podpisem informującym o tym, że to pierwszy raz. Wirus czyha na tych, co wychodzą zbyt często, toteż skończyły się codzienne wycieczki po świeże wypieki. Chleb zdarzało mi się piec już przed pandemią, jednak wyłącznie sporadycznie, jako urozmaicenie. Teraz robię to regularnie. Nauczyłam się też robić kajzerki. Zamierzam na stałe zrezygnować z kupowania pieczywa. Dziś czwartek, dzień zakupów. Już drugi raz z rzędu ominiemy dział z wypiekami. Fajnie jest wyciągać z piekarnika gorące bułeczki, patrzeć, jak roztopia się na nich masło i poci ser, być pewnym, co się je. Cieszę się, gdy Maciek mówi, że to najpyszniejsze bułki, jakie jadł. Jeszcze wspanialej jest wiedzieć, że dużą część tego zachwytu te zwykłe kajzerki zawdzięczają faktowi, że upiekłam je właśnie ja.

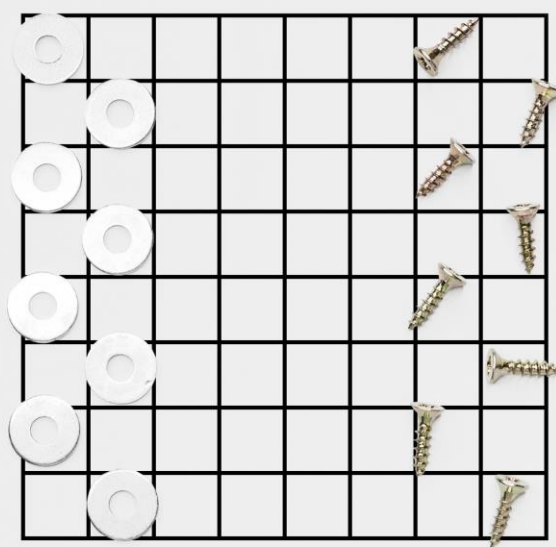
Podobno w Chinach wygaszaniu pandemii towarzyszy fala rozwodów. Powierzchnowe spojrzenie na ten fakt może przywołać na myśl, że to chore być na siebie skazanym w czterech ścianach. Przecież nawet najzgodniejsze małżeństwo potrzebuje od siebie oddechu! Głębsze zastanowienie się nad tą kwestią obraca jednak w pył owe pochopne wnioski. Owszem, każdy potrzebuje przestrzeni, jednak miesiąc czy dwa spędzone razem w wyjątkowych okolicznościach to, moim zdaniem, nie katonga, a weryfikacja. Jeśli mąż i żona przez lata nie poddawali analizie swojej komunikacji, marne są szanse, by nauczyli się tego w kilka tygodni, w dodatku ekstremalnych. Być może przy zabieganym trybie życia małżonkowie właściwie się mijali, przetykając gorycz, „bo i tak zaraz wychodzę do pracy”? Wciąż migające mi przed oczyma, dotyczące pożycia partnerskiego internetowe posty i komentarze przerażają. Roi się od niepochwalanых przeze mnie żarcików, że jak tak dalej pójdzie, to do końca pandemii „zaduszę go gołymi rękami”. Ludzie otwarcie przyznają, że nie mogą już ze sobą wytrzymać. Uważam, że drobne sprzeczki czy krótkotrwałe kryzysy rzeczywiście mogą być spowodowane nową sytuacją. Całkowite załamanie relacji poczytuję jednak wyłącznie jako weryfikację tendencji i stanów trwających od dawna. Nigdy jednak nie jest tak, że wszystko jest stracone. Zawsze warto walczyć, próbować.

Mam wielkie szczęście, że od ponad sześciu lat jestem z Maćkiem. Od początku naszego związku bardzo dbamy o jakość komunikacji między nami. Staramy się wyłapywać i przerabiać drgnięcia, które mogłyby spowodować lawinę. Gdy postanowiliśmy razem zamieszkać, wymyśliliśmy, że każde z nas spisze dziesięć zasad wspólnego mieszkania, w ten sposób z góry zapewniając sobie własną przestrzeń i unikając potencjalnych konfliktów. Wtedy była to świetna zabawa, dziś patrzę na to jednak jako na pomysłowy i dojrzały krok, rodzaj komunikacyjnej intercyzy i uroczego zapobieżenia drobnym nieporozumieniom, które negatywnie wpływałyby na naszą codzienność. I tak oto ja nigdy nie kładę nic na jego biurku, a on nie zostawia skarpetek na podłodze. Niezmiennie, od dnia sporządzenia tamtej listy.

Opracowywanie zasad i trzymanie się ich zostało nam do dziś. Przepis na nasz związek jest specyficzny, ale prosty. Podaję. Do miski wsadzić należy

jednego mężczyznę, który często zachowuje się, jakby lat miał sześćdziesiąt. Śmiać się z tego, że na każde przerwanie mu czytania ukochanych książek reaguje gestem wkurzonego dyrygenta i głośnym „ćśś”. Pokochać to, że jego drugą miłością jest planowanie, a wakacje z nim to „Agnieszka, wstawaj, bo teraz na drogach jest małe natężenie ruchu”. Uśmiechać się szczerze na jego naprzemienne łakomstwo i obawy o rosnący brzuch. Dorzucić kobietę, której dusza ma lat cztery. Pogodzić się z tym, że nade wszystko kocha pluszaki, a wizyta w banku nudzi ją tak potwornie, że koloruje zamiast słuchać, co się do niej mówi, jak bierze kredyt hipoteczny na ćwierć wieku. Okiełznać jej artystyczną, acz strachliwą duszę. Te dwa główne i jedyne składniki doprawić należy niepodnoszeniem głosu, umiejętnością przeproszania i unikaniem zaczynania zdań od „ty zawsze”, „ty nigdy” – mocno się tego trzymamy. Kolejno, trzeba energicznie wlać pół szklanki ignorowania małych problemów, a także dosypać dwie kopiaste łyżki kompromisów i szczyptę radości z drobnych rzeczy. Teraz całość dobrze wstawić w ciepłe miejsce do wyrośnięcia. Na ile? Do skutku, minimum sześć lat. W tym czasie przeszliśmy razem adopcję psa, kupno mieszkania, zaręczyny i, przede wszystkim, mojego raka. Rozwijamy się przy sobie i śmiejemy do rozpuku. Nie zliczę, ile razy każdego dnia wyznajemy sobie miłość. Na ostatnią rocznicę dostałam misia-giganta, Maciek – stos książek. Średnia z poważnego 60 i beztroskiego 4 wynosi dokładnie tyle, ile średnia naszych wieków.

Łatwo mi poszło to podsumowanie naszej relacji, prawda? Nie uczyniłabym tego jednak bez pandemii. Nawet wielka, mądra miłość potrzebuje zatrzymania się, spokojnego podsumowania, przejrzenia w lustrze. Tak, w ostatnim, wyjątkowym czasie z cztery razy się pokłóciliśmy. Kilkanaście dni temu przez dwie doby byłam struta i drażliwa – chyba przeżywałam kryzys związany z tym, co koronawirus robi ze światem. Mimo to kochamy się jak nigdy dotąd. Jestem też przekonana, że każdy zasługuje na taki związek. Trzeba jednak zrezygnować ze stereotypów, gier i uprzedzeń, a także, jak drożdże i mąkę, uważnie ważyć słowa, gesty i zamiary. Mądra i szczerza komunikacja stosunkowo szybko wchodzi w krew. Na takim zaczynie wyrośnie najpyszniejsza miłość.



Odkrycie dnia siódmego

Warto doceniać absolutnie wszystko

Nie uwierzysz, co właśnie robiłam. Grałam w ping-ponga na wyspie kuchennej! Serio. Dokopawszy się na dno pudła z grami planszowymi, Maciek i ja znaleźliśmy paletki oraz piłeczkę. Początkowo zareagowaliśmy smutkiem – nie można wychodzić, sporty – zakazane. Maciuś wpadł jednak na genialny pomysł: zagrajmy w domu! Kosz z owocami i napoje przełożyliśmy na stół, ze słóczków z przyprawami ułożyliśmy niską siatkę. Krótkie spodenki i koszulki, pięć setów, po każdym zamiana stron – teraz Ty grasz od strony zlewu, ja – witrynki z kieliszkami. Po pięciu minutach pot płynął mi po czole, a brzuch bolał ze śmiechu.

Świat daje nieskończoną ilość możliwości: ludzi do poznania, miejsc do odwiedzenia, tras do przejścia, kwiatów do powąchania. Inwentarz wnętrza mieszkania zdaje się natomiast być policzalny. Czyż ograniczenia nie pobudzają jednak wyobraźni? W internecie widziałam już zdjęcia romantycznych kolacji w pokoju przerobionym na elegancką restaurację, obszerne spisy pomysłów na zabawy z dziećmi oraz kobiety wynoszące śmieci w sukniach wieczorowych. Ostatnio przyłączyliśmy się do kreatywnej zabawy, tworząc serię obrazków. Odtwarzaliśmy kadry ze znanych memów i dorabialiśmy do nich napisy na temat przymusowego siedzenia w domu. Znajomi pisali, że umiłyśmy im trudny czas, my świetnie się bawiliśmy. Ba, nasze śmieszne obrazki poszły w świat i nieco ponad tydzień temu opowiedzieliśmy o nich w radio oraz telewizji śniadaniowej – nie do wiary! Skąd ten niewielki sukcesik? Wydaje mi się, że ludzi urzekły obrażenia Rambo, które namalowałam Maćkowi swoimi szminkami czy morskie tło, powstałe dzięki powieszeniu niebieskiego koca na płocie. Domowe akcesoria w siniaki i ocean zamienić pomogła nam wyobraźnia, uważna wobec najmniejszych szczegółów. Ośmielona całą sytuacją zrobiłam internetową transmisję o kreatywnych sposobach na tworzenie masek i przyłbic. Bardzo się cieszyłam, gdy znajomi i obcy ludzie wysyłali mi zdjęcia maseczek zrobionych według moich szalonych pomysłów.

Zawsze miałam opinię osoby, która umie zrobić coś z niczego. Czasem myślę, że to dlatego że jestem jedynaczką i musiałam sama wymyślać sobie zabawy. Potrafię też cieszyć się małymi rzeczami, szczerze wierzyć, że ich wartość wypełnia moje dni często skuteczniej niż sprawy dużego kalibru. To chyba wynik nauki płynącej z przejścia przez raka. A może do problemów i wyzwań również należałoby podchodzić kreatywnie, przestawiając kilka rzeczy w inne miejsce i odważnie rozgrywając mecz z losem, samemu ustawiając siatkę ze słóczków z przyprawami?



Odkrycie dnia ósmego

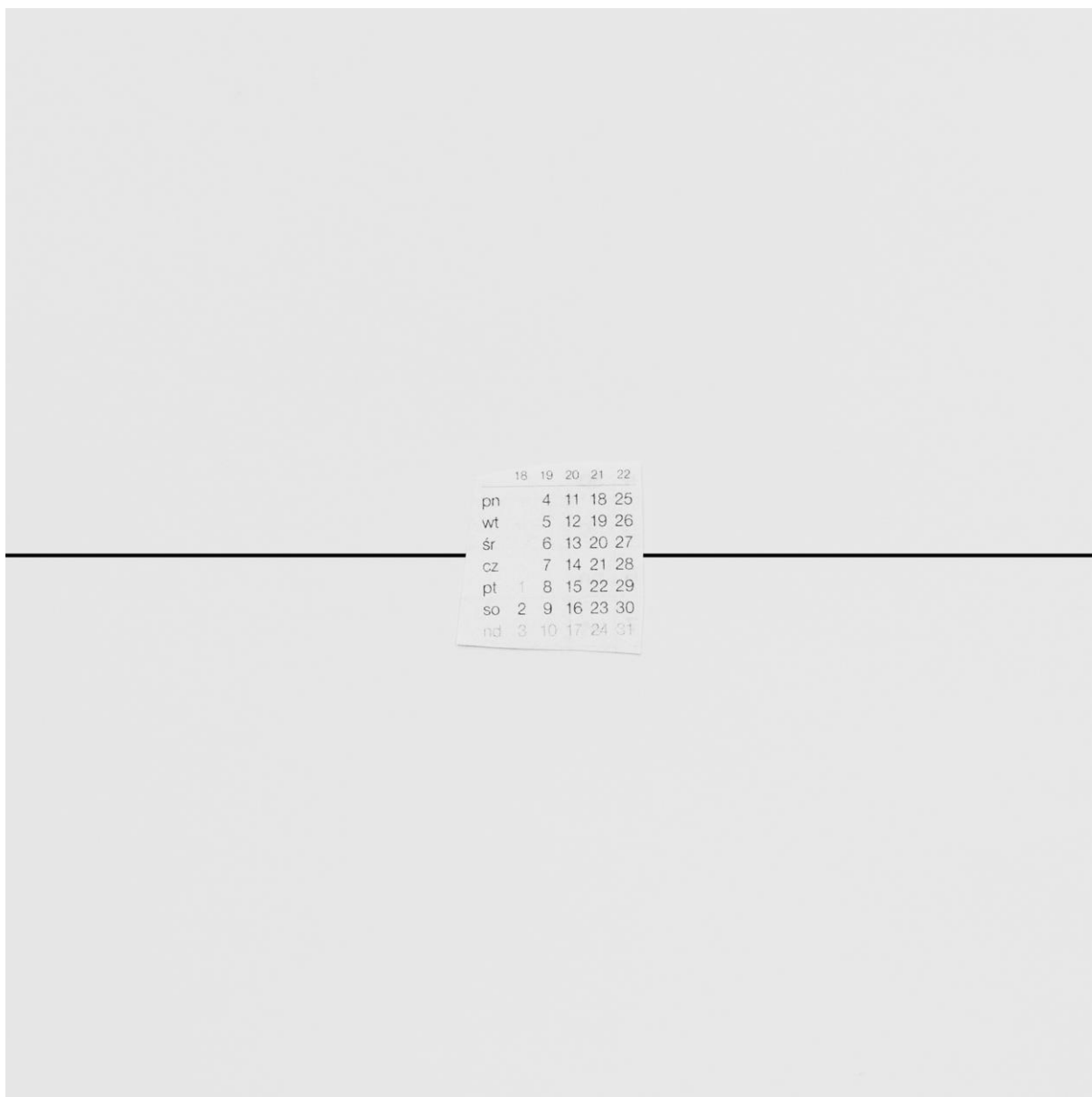
Warto wyglądać tak, jak się chce

Zaobserwowałam u siebie przemianę wizerunku. Poukładałam też w głowie wszystkie etapy tego procesu. Początkowo, zamknięcie w domu było jednoznaczne z nastaniem czasów ukochanej wygody. Hurra, kolejny dzień bez biustonosza! Nie muszę się malować! Jakże wygodniej pracuje się w dresie niż w dżinsach! Miałam myć dziś włosy, ale nie chce mi się, więc zrobię to jutro! O, piętnasta, a ja dalej w szlafroku, ale fajowo! Nie wyobrażam sobie powrotu do butów, kapcie... to jest życie! Piękna sprawa, rewelacja! Po kilku dniach bawełnianego rozpasania zaczęłam tęsknić. Oto dresy zostały zastąpione przez sukienki, a rozciągnięte koszulki – przez różne topy, koszulki i bluzki. Najpierw sądziłam, że najzwyczajniej brakuje mi wyglądu porządnego, „jak człowiek”, ale wcale nie sięgałam po wygodne spodnie z materiału czy sweterki, w których prowadzę zajęcia na uczelni lub odwiedzam rodziców. Ubierałam ciuchy, które wybieram, gdy idę na spotkanie z koleżankami, otwieram swoje wystawy artystyczne czy robię sobie sama zdjęcia w domu.

Wyzwolona z codziennych konwenansów, mimowolnie pozwoliłam dojść do głosu swoim najszczerzszym pragnieniom w pozornie błahej kwestii, jaką jest ubieranie się. Za czym zatęskniłam? Nie za uciskiem stanika czy dżinsów, bynajmniej. Raczej za wyrażaniem się poprzez dobór elementów swojego wizerunku. Wiesz, chodzi mi nie o dopasowywanie się do oczekiwań innych czy tuszowanie kompleksów, tylko o dopełnianie swojej wymarzonej wizji siebie za pomocą stroju, stylizowanie wyglądu celem czucia się lepszym i pełniejszym.

Ubiór już dawno przestał pełnić funkcje wyłącznie ogrzewania ciała i zaślania miejsc, w kwestii których umówiliśmy się, że należy je zakryć. Jest sposobem na komunikowanie świata, za kogo się uważamy i kim chcemy być. Potrafi nawet wstępnie opisać nasze poglądy, podejście do ekologii, zasygnalizować poczucie humoru, odwagę oraz rodzaj muzyki, który uwielbiamy. Dobieranie elementów stroju to jednocześnie poważne wyzwanie i świetna zabawa. Na studiach czytałam sporo o psychologii ubioru. Kiedyś w radio przeprowadzałam wywiad z genialną kulturoznawczynią o tym, jak trafnie moda w danym okresie etykietuje kondycje i dążności społeczeństwa. To naprawdę szeroki i poważny temat!

Zawsze charakteryzował mnie dość odważny wizerunek. Nie widzę nic złego czy niestosownego w błyszczących butach, dużych kolczykach czy intensywnym odcieniu szminki. Pandemia pomogła mi zrozumieć, że mimo to chodzę ubrana tak, jak lubię, w stosunkowo niewielkiej ilości sytuacji. Dlaczego? Czy obawiam się krytycznych spojrzeń w sklepie? Czy wystraszona część mnie sądzi, że wściekle różowa kurtka zagrozi mojemu autorytetowi wykładowcy lub umniejszy wartości córki, z której można być dumnym? Przecież to bzdura! Dziś postanowiłam wyrażać się strojem wszędzie tam, gdzie mam na to ochotę i wreszcie uwierzyć w to, że ubrania nie muszą uzupełniać czy tuszować moich wyimaginowanych braków. Dziękuję Ci za to, pandemio, czuję się znacznie lepiej!



Odkrycie dnia dziewiątego

Czas przeznaczają się na coś cały czas

Przed śniadaniem się rozplakałam. Histeria była krótka, intensywna i na temat. Poszło o kalendarz. Kalendarz, w którym przecież zawsze mam porządek, który w znakomitej większości zawiera zapiski o tym, co naprawdę lubię, którego kształtu i perspektyw koronawirus nie zaraził niczym paskudnym... Co się więc stało? Zacznę od początku.

Ciekawi mnie to, jak szeroka jest paleta zmian, które w indywidualnych życiach ludzi przeprowadziła pandemia. Często pytam o to znajome osoby. „U mnie po staremu. Trochę popracowałam z domu, ale już wróciłam do biura. Poza tym, że przy wejściu stoi płyn do dezynfekcji, nic się nie zmieniło”. „O, kochana, sporo zmian. Przebranżowiłam się”. „Dziwne, bo obowiązków sporo, a w domu jakby więcej zrobione”. „Znacznie później chodzę spać, później wstaję. Niby przekopałam ogródek, ale głównie to zaniedbuję plany i obowiązki, jakoś nie potrafię znaleźć sobie miejsca”. „Straciłam pracę. Nie wiem, co dalej. Moje życie przewraca się właśnie do góry nogami”. Koronawirus zastał nie tylko wszystkich ludzi razem, lecz także, a raczej przede wszystkim, każdego z osobna: w danej branży, na konkretnym stanowisku, z mężem, dziewczyną, współlokatorką, dziećmi, kotem, bez kogoś, z czymś, bez czegoś.

Dla mnie pandemia to dobre zmiany. Czasem myślę, że gdyby nie fakt, iż umierają ludzie i chwieje się gospodarka, szczerze lubiłabym ten czas. To kwestia czystego przypadku – lata temu nieświadomie wybrałam branżę dość odporną na wirusy. Przyspieszenie przenosin moich działań zawodowych i prospołecznych do online’u dobrze wpłynęło na to, co robię. Ze studentami i słuchaczami o wiele wygodniej mi dogadywać się z domu, niż jeździć na uczelnię czy do radia. Darmowe wykłady internetowe idą jak ciepłe bułeczki, moja społeczność powiększa się nieustannie. Spontaniczną transmisję na temat profilaktyki ginekologicznej obejrzało 150 osób, wykład o zarabianiu jako artysta – prawie 400. Wszyscy teraz dopracowują swoje strony internetowe, więc potrzebują zdjęć i filmów, przez co zleceń mi nie brakuje. Brzmi świetnie, prawda? Wszelkie duże zmiany w życiu muszą jednak być obkupione podjęciem trudnych wyzwań. Nie ma innej opcji. Ostatnie tygodnie były dla mnie zatem, owszem, owocne, rozwijające i lukratywne, jednak wycieńczające. I stąd ten poranny płacz.

Z natury jestem bardzo poukładana, jednak równie emocjonalna. Cały ten czas jest dla mnie korzystny i inspirujący, lecz jednocześnie przedziwny i niemożliwie intensywny. Wyływając, łzy przeczyściły moje myśli, zupełnie jak morska fala trzymane w dłoni muszelki. Pojawiły się gładziutka jasność umysłu i połyskująca determinacja. Po śniadaniu ponownie siadłam nad kalendarzem.

Przede wszystkim, uporałam się z sentymentami i ostatecznie zrezygnowałam ze wszystkich obowiązków, które w czasie pandemii przybierają zbyt niepewny kształt. Włączyłam opcję „asertywność” – na jakiś czas muszę ograniczyć moje szerokie od zawsze działania pro bono, wieczne robienie czegoś po starej znajomości, w trybie „przecież to zajmie tylko chwilkę”. Na kartce wypisałam swoje cele. Te najodważniejsze sprowadziłam na ziemię, wyłuskując z nich proste czynności, których realnie mogę się podjąć w najbliższych tygodniach.

By uniknąć wybuchów, gęstą, pulsującą lawę obowiązków rozlałam równomiernie na godziny i dni. Każdej dacie wpisałam sześćdziesiąt minut na maile, niespodziewane telefony, prowadzenie mediów społecznościowych, księgowość czy drobne formalności – żeby się nie piętrzyło.

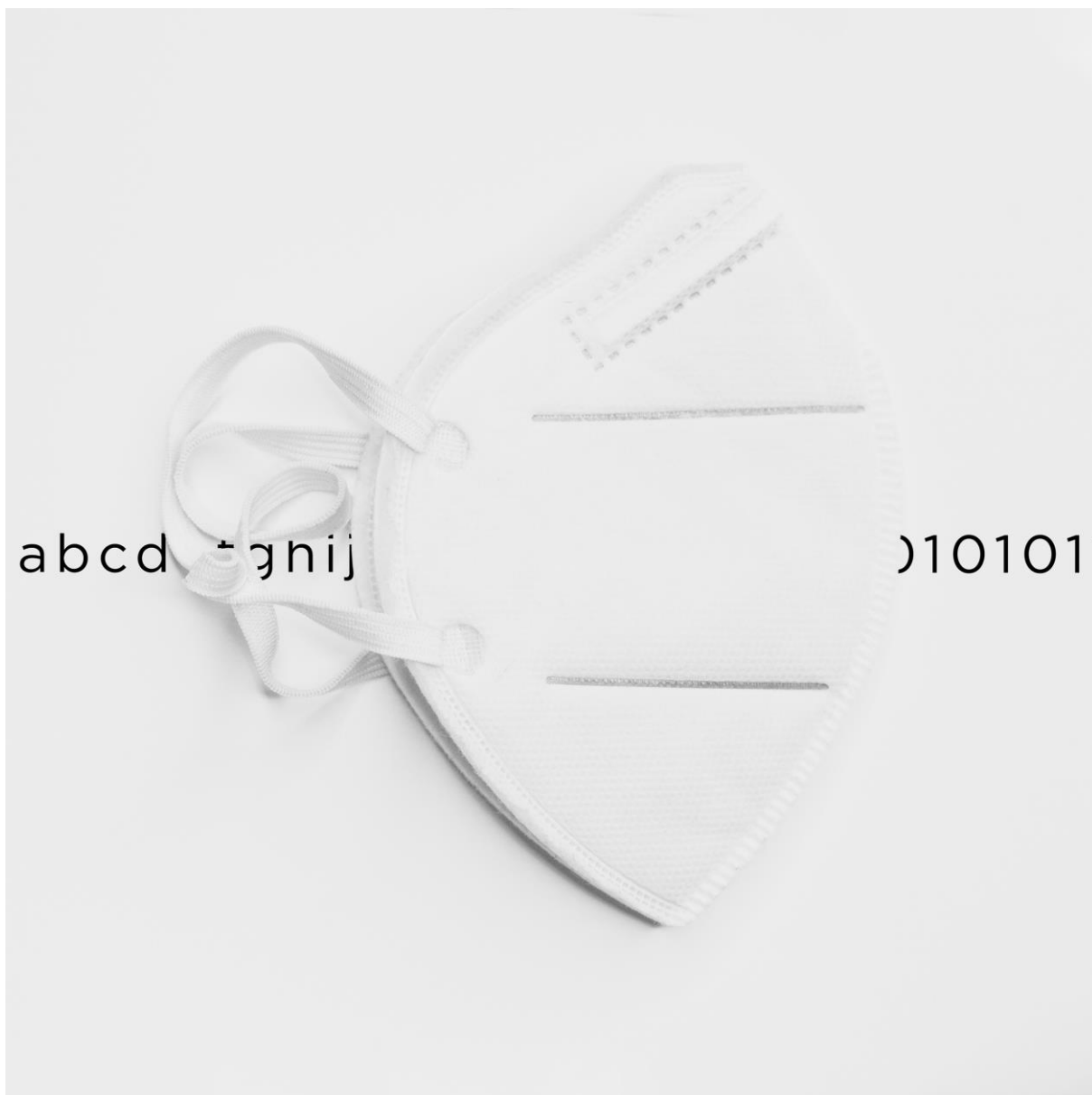
Do kalendarza, który zwykle kojarzy się wyłącznie z pracą, wpisałam też wszystko to, co wypełnia mi dzień, a nie leży w spektrum wykonywanego zawodu. Od razu okazało się, że wzięcie pod uwagę wyjazdu na duże zakupy lub umycia wszystkich okien w mieszkaniu to wielka łaskawość ode mnie dla mnie samej, genialny w swej prostocie sposób na uniknięcie dysforii pt. „o nie, jeszcze to” lub „od pół roku szukam czasu, by to zrobić”. Co ciekawe, zarówno do terminarza, jak i godzin pracy zawodowej bądź obowiązków domowych, wprowadziłam odpoczynki i krótkie urlopy od wszystkiego. Obiecuję sobie dbać o to, by relaksować się regularnie i w czasie tym wykonywać jedynie czynności, które dodają mi energii i witalności, a nie je wyczerpują. W celu równoważenia męczących wysiłków, które podejmuję dla kariery, zarobku i bycia wartościowym człowiekiem, zamierzam kilka razy dziennie pozwalać sobie na gapienie się w niebo lub leżakowanie z zamkniętymi oczami bez żadnego poczucia winy czy wrażenia marnowania czasu. Pracę głęboką będę przeplatać odpoczynkiem regularnie, nie odkładając ładowania wewnętrznych baterii do momentu całkowitego ich wyczerpania. Nie będę zapominała o sporcie i zdrowym jedzeniu.

Zasadniczo od miesięcy staram się żyć właśnie w ten sposób, ale stare przyzwyczajenia walczą, jak mogą, o uniknięcie egzekucji wyroku śmierci przez zapomnienie i nieużywanie. Poranny płacz ostatecznie mnie jednak zmotywował do wypełniania godzin, dni, miesięcy i lat wyłącznie tym, co przybliżył mnie do osiągnięcia moich celów, bycia sobą oraz czucia się świetnie tu i teraz. Pandemia to świetna okazja do dopracowania szczegółów lub nawet rewolucji w obrębie zarządzania ograniczonym czasem naszego życia. Ten biegnie przecież niezależnie od wszystkiego, nie gubiąc się, nie dając się znaleźć czy zmarnować, nie kurcząc się, nie rozciągając, nie lecąc ani szybko, ani wolno. Dysponujemy równymi sobie, następującymi po sobie dniami i tylko od nas zależy, jak je spożytkujemy.

Bez osobistego podziwu patrzę na facebookowe posty tych, którzy zamknięcie w domu przeznaczili na bezproduktywne obijanie się i smętne narzekanie na pracę, do której w końcu będzie trzeba wrócić. O ile jeszcze rozumiem chwilowe załamanie, okres stagnacji, bierność z wyboru i to, że nie każdy jak ja lubi przygody, o tyle wieloletnie czekanie na nienadchodzący nigdy odpowiedni moment, by zacząć żyć według własnych przekonań i marzeń jest czymś, czego pojąć nie potrafię. Znam tyle osób, które latami analizują swoją sytuację, poświęcając temu tyle energii i czasu, że nie starcza ich już na jakiegokolwiek działanie... Od zawsze wychodzę z założenia, że lepiej żałować, że się coś zrobiło, niż że się czegoś nie zrobiło. Niedawno wyczytałam, że to nie tylko dobrze brzmiące motto, ale realny sposób na uniknięcie frustracji wynikającej z prowadzenia w swojej głowie równoległego życia osoby, która się wtedy odważyła. Ostatecznie przecież

chyba ze wszystkiego można się jakoś wygrzebać, powpisywać nowe rzeczy do kalendarza, skreślić stare.

Brzmi to dość wzniośle i poważnie, ale naprawdę sędzę, że koronawirus niejako stara nam się wyjaśnić, jak działa czas: że do niektórych rzeczy da się przygotować, do innych nie, że planowanie kwestii zawodowych jest równie ważne co rozpisywanie często traktowanych bez należytego szacunku obowiązków domowych oraz cennego odpoczynku, będącego źródłem energii i szczęścia, że godziny i dni płyną nieprzerwanie, a my mamy do zagospodarowania pewną ich pulę, zarządzaną subiektywnie, w świecie pełnym zmiennych. Kilka godzin temu byłam wynieść śmieci. Spotkałam sąsiadkę, która wyrzucała duże kartony. „Wstyd się przyznać, ale trzy miesiące do złożenia tej szafki się zbierałam. Teraz widzę, że jak tak człowiek nie biega w tę i we w tę, to nigdy na takie rzeczy czasu nie ma. A w sumie chwilę nam to z mężem zajęło, jeszcze się uśmialiśmy i wreszcie buty jest gdzie trzymać”. Ano właśnie.



Odkrycie dnia dziesiątego

Do internetu powinniśmy przenieść się już wcześniej

Przyjaciele, znajomi, koledzy, współpracownicy, klienci, rodzina... Po kilku tygodniach *lockdownu* ich twarze na dobre zmieniły się w opatrzone zieloną kropczką imiona i nazwiska. Zamiast otwierać usta, naciskam „wyślij”. Gestykulację zastąpiły emotikony. Obserwacjami w podobnym tonie wymieniamy się od ponad dwóch dekad, jednak przenosiny życia społecznego do sieci nigdy nie odbywały się tak intensywnie i sprawnie jak teraz, podczas pandemii COVID-19. Cybernetyczna przyszłość, która z każdym rokiem była coraz bliżej, lecz wciąż nie na wyciągnięcie ręki, teraz rozpościera przed nami realne możliwości: teleporady u lekarzy, skuteczna praca zdalna, zebrania w wirtualnych salach konferencyjnych, szkoły online, wideokawy z koleżankami. Jak tak się nad tym zastanowić, to w roku 2020 powinien to być już standard, niezależny od przybysza z Wuhan. Ba, podobno gdyby nie kontrola korporacyjna, jako cywilizacja już dawno bylibyśmy samowystarczalni i oddawszy pracę maszynom, bimbilibyśmy sobie wesoło. Mimo odważnych przewidywań futurologów, mimo przeprowadzanych licznie operacji robotycznych, wysyłania człowieka w kosmos i sekwencjonowania DNA, u progu trzeciej dekady XXI wieku wciąż jeździmy do biura, gdy z domu bylibyśmy przynajmniej równie wydajni, rozmawiamy z szefem w jego gabinecie, choć moglibyśmy przez internet, jeździmy na angielski, mając wszelkie narzędzia do e-nauki. To chyba dobrze, że nauczyliśmy się działać na miarę naszych czasów, przyspieszając wyjście z ery, jak określił ją Gene Youngblood bodajże w latach 60., paleocybernetycznej.

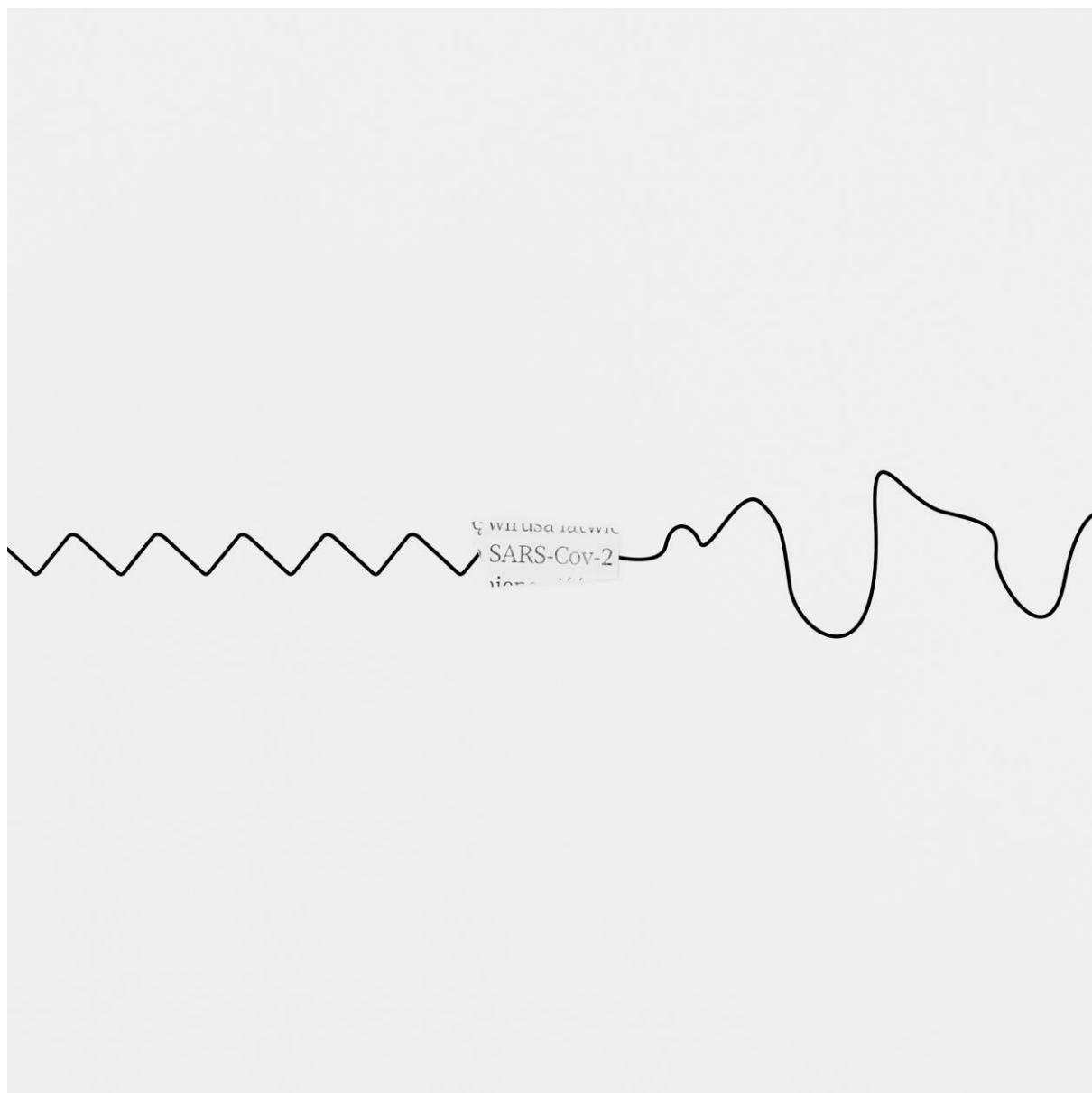
Irytuje mnie traktowanie komputera i internetu jak pożeraczy czasu, jakichś podejrzanych szamanów, kusicieli, węży z rajskego ogrodu. Bezrefleksyjne ganieńdzie dzieciaków za siedzenie przed monitorem jest przykrym reliktem z czasów, gdy lekcje były w zeszytach, a migoczący ekran oznaczał wyłącznie gry, wtedy niebędące wielką gałęzią światowego biznesu. Pamiętam, jak, tkwiąc pod kroplówką z chemioterapią, rozmawiałam z przyjaciółką przez komunikator. Nagle podłyszałam, że dwóch starszych mężczyzn na leżankach obok, swoją drogą, przemitych panów, szepcze między sobą, że takie patrzenie w telefon to uzależnienie, że jak to tak można klikać i klikać jak maszyna. Drodzy sąsiedzi z dziennego oddziału chemioterapii, telefon, komputer, internet to nie synonim kolejnego piwa czy wyłączania myślenia. Od razu przypomina mi się świetny mem: dwoje ludzi jedzie w pociągu, ona czyta książkę, on – zapatrzony w telefon. Pani z niesmakiem spogląda w stronę pana – przecież książka warta jest więcej niż migający ekran. Kolejny obrazek odsłania karty: ona czyta tanie romansidło, on – Heideggera. Czyż skutki pandemii nie przyspieszają procesu ogólnego zrozumienia, że jesteśmy społeczeństwem sieci, chętniej, wygodniej i bezpieczniej poruszającym się na mapie niż w rzeczywistości, jak określał to Baudrillard?

Krytykuje się zapośredniczanie rozmowy komunikatorem, czatem, SMSem – nie dziwię się, i mnie kontakt werbalny wydaje się najbardziej wartościowy. Niczego nie odczytujemy tak sprawnie i chętnie jak gestów, mimiki, tonu głosu. Robimy jednak wszystko, by stworzyć cyfrowe zamienniki tych kanałów komunikacji – technika idzie do przodu. Ba, za ekranem czujemy się coraz bezpieczniej. Już kilka lat temu dowiedziałam się, że uczestnicy koncertów, jak szaleni nagrywający

telefonami wykonawców, nie robią tego z nudów czy głupoty, tylko niejako z powodu wieloletniego przystosowania się do przeżywania wielkich emocji wyłącznie z pomocą filtrującego świat ekranu smartfona. Oglądając występ na własnym smartfonie, czują się... normalniej. Warto przemyślenia, prawda?

Patrzę na zielone kropki na czacie – internetowe etykiety obecności osób, z którymi kontaktuję się na co dzień. Rano wypięłam wideokawę z przyjaciółką. W trakcie dnia napisałam mnóstwo maili, wykonałam kilka zawodowych telefonów. Teraz koresponduję z trojgiem znajomych jednocześnie i... bardzo mi to odpowiada. Nie muszę wychodzić z domu. Mam na sobie wygodny dres, podjadam chipsy. Gdy chcę iść do toalety, kuchni czy ogródka, nie muszę się tłumaczyć – po prostu odchodzę od komputera i wracam, kiedy mogę, by kontynuować rozmowę. Zawsze myślałam, że jestem szalenie towarzyska. Pandemia pokazała mi, że wcale tak nie jest. Lubię intensywny i regularny kontakt, ale z zachowaniem dystansu i kontrolowanym przeze mnie dawkowaniem. Zapośredniczanie relacji nowoczesnym medium odpowiada mi.

Czemu nie odkryłam tego przed marcem 2020? Sądzę, że moje motywacje do bardzo częstego bycia wśród ludzi nie zawsze były zdrowe. W wielu spotkaniach towarzyskich uczestniczyłam, by upewnić się, że jestem lubiana, fajna, coś warta. Nie przeczę, potrzebuję przyjaciół i przyjaciółek, kolegów i koleżanek w trybie stałym, szczerym i lojalnym, jednak umiarkowanym. Jest dla nich masa miejsca w moim sercu, lecz nie aż tak dużo w kalendarzu. Nie aż tak dużo, jak wydawało mi się przed pandemią. Chcę, by trwali przy mnie ci, co to rozumieją. Jestem towarzyska, lubię ludzi i chcę być lubiana, jednak wygląda na to, że mocno pragnę pielęgnować w sobie duszę jedynaczki, samotnicy. Może nie jestem ekstrawertyczką, jak dotychczas przekonywały mnie wszystkie znaki na niebie i ziemi, tylko ambiwertyczką?



Odkrycie dnia jedenastego

Cywilizacja ma gorączkę, oby szybko wyzdrowiała

Dotychczas czułam się świetnie. Zamknięcie w domu zdawało się napędzać moje myśli i działania, rewidować przekonania, robić remanent w głowie i otoczeniu. Nie dziś. Dzisiaj nie jest produktywnie. Dziś nie jest fajnie. Obudziłam się w codzienności praktycznie nieróżniącej się od tej, którą zastałam wczoraj, jednak wszystko wydaje się jakieś nieswoje, inne. Chodzę rozdrażniona, uciekam do pustych pokoi, nic mi nie smakuje, drobnostki poważnie wyprowadzają z równowagi. Co się, do cholery, stało? Gdzie jest normalny świat? Co z ludźmi, którzy tracą zatrudnienia, majątki? Kogo obciążyć odpowiedzialnością i kosztami, skoro wszyscy są ofiarami? Jak walczyć z kimś, kogo nie widać, komu *de facto* na niczym nie zależy, bo jest niewidzialną pierdołą w lipidowej otoczce? Jak duże jest zagrożenie?

Zawsze, gdy wyobrażałam sobie wojnę, a jako ciekawska wszystkiego osoba, dużo o wojnach oglądałam filmów i siłą rzeczy takie wizje cisnęły mi się do głowy, myślałam o tym, że w razie nagłego zagrożenia przede wszystkim pojechałabym do moich rodziców. Dopiero będąc z nimi, planowałabym dalsze kroki. A teraz? Nie mogę ich odwiedzić. Gdyby ktoś z nas zachorował, nie chwycimy się za rękę. W telewizji emitowali wywiad z kobietą, której mąż leży podpięty do respiratora, a ona nie może nawet wejść na oddział.

Świat został zarażony. Nie ten czy tamten człowiek, tylko świat. Percepcja rzeczywistości kaszle. Nagły, bezsensowny odruch rzuca nią bezlitośnie. Cała w spazmach odrywa się od oparcia fotela, próbuje wyrzucić z siebie niewidzialny kłak. Skoro od tyłu dni poruszam się między kuchnią, łazienką i dwoma pokojami, to jaką mam pewność, że reszta świata stoi, jak stała? Co jest snem – pandemia czy pewny, pionowo-poziomy świat sprzed marca 2020? Cywilizacja ma gorączkę. W majakach prowadzi gospodarkę, leczenie, edukację, transport. Wielcy tego świata na naszych oczach przekrzykują się, czym zbijać taką temperaturę, niczym okropnie przeziębiona matka, ostatkiem sił smarująca gorączkującego malca mentolową maścią i każąca połknąć paracetamol. Przyszłość walczy z dusznościami. Nie umie zaczerpnąć powietrza. Pytana, kiedy nadejdzie dzień, gdy to wariactwo się skończy, dławi się, odwracając od nas wzrok. Bolesnie patrzy się w te zamglone oczy. Silne złudzenie pewności nadejścia ostatecznego końca pandemii to fatamorgana, skutek stanu chorobowego rzeczywistości. Nigdy nie będzie jak wcześniej.

Świat, który znałam dotychczas, był wielce niedoskonały, ale mimo wszystko regularny w swojej formie. Pozwalał mi czuć się w miarę bezpiecznie, jak niemowlakowi kąpiele o dziewiętnastej i kaszka punkt dziewiętnasta trzydzieści. Wśród ludzi, jednocześnie z nimi i w kontraście do nich, byłam sobą, jedyną na świecie mną. Teraz jest inaczej, jakby trudniej. Spodziewałabym się wojny, głodu, katastrofy ekologicznej. Miałam wrażenie, że po roku naprawdę niewiele może mnie zaskoczyć. Nie mogę uwierzyć w tę pandemię. Boję się. Nie rozumiem. Mam dość.



Odkrycie dnia dwunastego

Samotność sprzyja samoanalizie

Dziś już mi lepiej, choć po wczorajszym, niewielkim kryzysie czuję się nieco zmęczona i nazbyt otwarta. Uświadomiłam sobie, że ta weryfikacja stanu faktycznego, to budowanie nowego, ta reorganizacja biegu życia, której niemal wszyscy doświadczamy w mniejszym lub większym stopniu, mniej lub bardziej świadomie, nieuchronnie prowadzi przez spojrzenie sobie prosto w oczy. Siedzenie w domu sprzyja kładzeniu samej czy samego siebie na kozetce. Pojawiające się w głowie wspomnienia, sentymentalny nastrój, długie dyskusje z najbliższymi w czterech ścianach, odkrywanie starych zdjęć i innych artefaktów podczas sprzątanía, praca z kalendarzem, cisza za oknem, ograniczenie wchodzenia w rolę w miejscach publicznych... to grunt, na którym samoanaliza kiełkuje w imponującym tempie.

Od wybuchu pandemii trwają wykopki w mojej głowie. Przesadzam, sieję, podlewam, odchwaszczam. W życiu nie robiłam tego z takim zapałem. Postanowiłam zająć się dziś właśnie tym tematem, gdyż podczas porannego prysznica dokopałam się aż do czasów przedszkolnych! Niewątpliwym wpływem na taki obrót spraw ma również fakt, że czytam obecnie świetną książkę o emocjach. Ważne cytaty z niej przepisuję do notesu z buldogiem francuskim na okładce. Na końcu notatnika zapisuję natomiast to, co sama wymyślę, na przykład podczas takiego odkrywczego prysznica.

Spoglądam teraz w te zapiski. Niektóre myśli spisane są w sposób bardzo czytelny i dokładny, inne – naprędce, zdawkowo. Czytam na przykład, że mój niezwykle silny charakter prawdopodobnie ukształtował się na drodze buntu przeciw temu, że jako dziecko miłe, usłużne, uległe i grzeczne często byłam celem zwalania na mnie cudzej winy, a moje odwieczne dążenia do pozostania neutralną w konfliktach, zwykle kończyły się tym, że wszyscy się na mnie obrażali. Czasem sprawy były poważne. W liceum oskarżono mnie o zaśpiewanie wulgarnego słowa na studniówkowej scenie, co absolutnie nie miało miejsca, a było najpewniej skutkiem sprzężenia mikrofonu. W harcerstwie całutka afera o podarte żagle spadła na mnie, bo pozszywałam je nicią o złym kolorze, podczas gdy nie dość, że nie ja je podarłam, a szycie wykonałam w ramach przysługi, to kolega wraz z nicią przyniósł mi informację, że w szufladzie z nićmi na sto procent była tylko ta bordowa. To ja byłam tą, która robiła zadania domowe, kiedy wszyscy grali w piłkę, a potem dawała je odpisać na parapecie. Nie było dla mnie problemem, że ktoś korzysta z mojej pracy, ale gdy nas przyłapywano, ochrzan dostawałam także ja. Nigdy nikt nie powiedział mi w twarz, że jestem frajer, co więcej, byłam naprawdę lubiana w klasie i szkole, ale mój kształtujący się umysł swoje wnioski wyciągał i odkładał w miejscu, które później doszło do głosu, nieokrzesanego i nieusłuchanego. Pewnie, mogłam nie dawać zeszytu, nie szyc żagli, nie śpiewać na studniówce. Ale zawsze chciałam pomagać, angażować się, być fajna. Dopiero niedawno nauczyłam się, że jestem fajna również wtedy, gdy nie wyciągam do wszystkich ręki, a także gdy ktoś moją rękę odtrąci – to ani o rękę, ani o reszcie mnie źle to nie świadczy. Wciąż jednak mieszam się w liczne nieporozumienia przez chęć zrobienia czegoś jak najlepiej i borykam się z wynikającym z tego żalem.

Zaszyte żagle czy odrobione zadanie z matmy to także symbole mojej walki o przynależność. Niestety czas, kiedy dziecko najskuteczniej uczy się socjalizacji z grupą rówieśniczą, został u mnie pod tym względem zaprzepaszczone – byłam jedynaczką, która nie chodziła do przedszkola. Mama, choćby chciała, nie zastąpi kontaktów koleżeńskich. Przez resztę życia goniłam więc za akceptacją podobnych sobie, którą błędnie identyfikowałam z własną wartością. Od sześciu miesięcy bardzo świadomie pracuję nad wyciszeniem tej niezdrowej potrzeby przynależności, motywowanej strachem. I oto dziś, spłukując kokosowy żel pod prysznic z ciała, olśniło mnie, skąd to odwieczne uczucie dysonansu przy okazji zabiegania o ciągły kontakt z rówieśnikami: otóż stoi on w sprzeczności z moim dążeniem do świętego spokoju i samodzielnego dawkowania sobie kontaktu z ludźmi. Tak, na pewno jestem ambiwertyczką.



Odkrycie dnia trzynastego

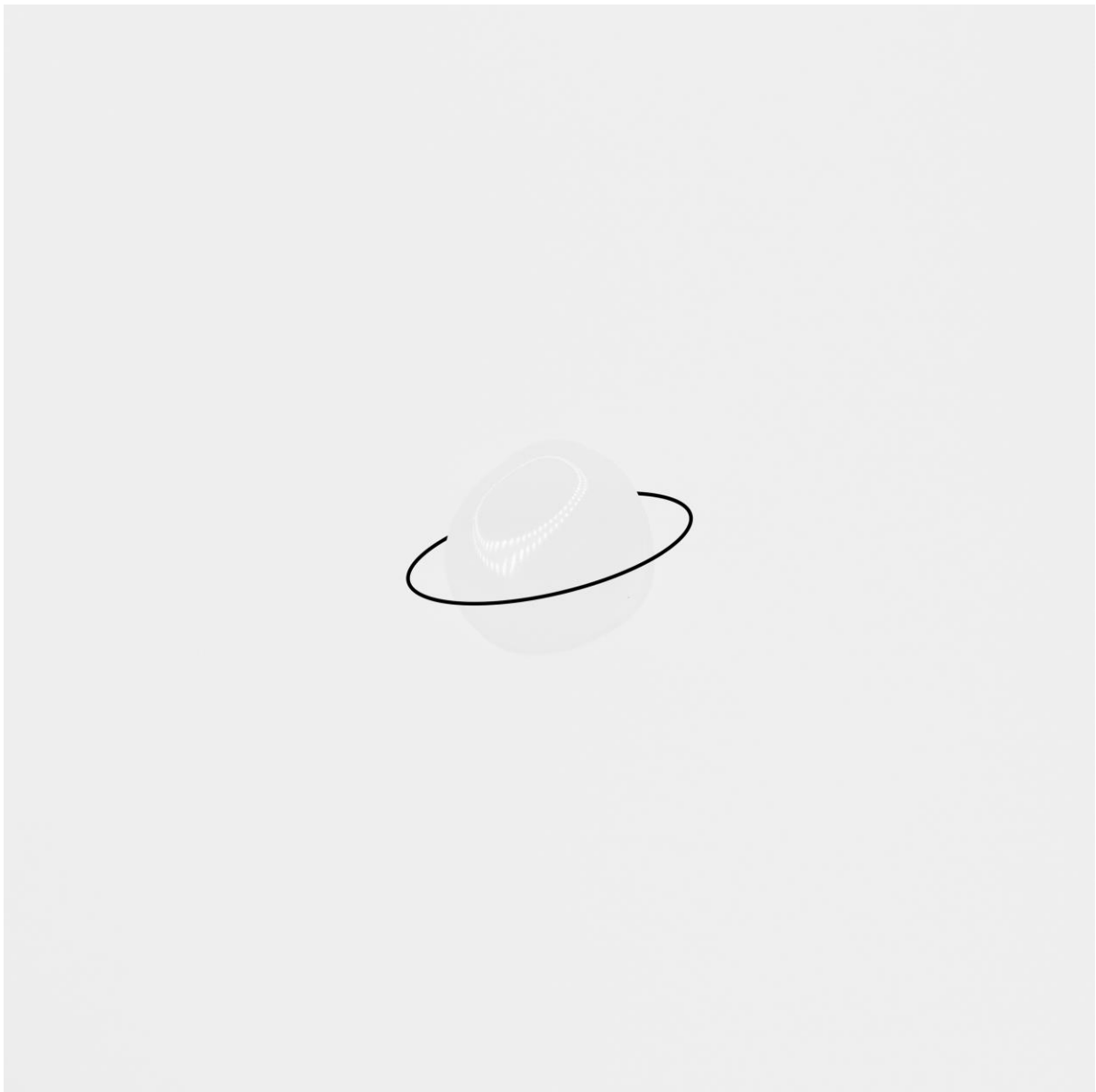
Dotyk jest ważniejszy, niż się wydaje

To przedziwne, ale mimo odnajdywania spokoju i równowagi w ograniczeniu bezpośrednich kontaktów z ludźmi, paradoksalnie momentami bardzo mi ich brakuje. Tęskno mi za magiczną wręcz, pozornie nieistotną, niewerbalną częścią rozmowy. Za dodatkiem do uśmiechu w postaci uniesionych brwi, gdy dawno niewidziany znajomy mnie dostrzega. Za poklepaniem po ramieniu, gdy melduję, że przytrafiła mi się drobna przykrość. Za teatralnie zabawnym tonem czyjegoś głosu. Za porozumiewawczym spojrzeniem. Uderzeniem we własne udo podczas wybuchu śmiechu. Przeciągłym mruknięciem sugerującym niepewność. Podaniem ręki. Parsknięciem. Szeptem.

Zagadnienie tonu głosu zawsze było dla mnie nieprzyjemnym tematem. Nie zliczę, ile razy ktoś sugerował mi jakąś emocję, wskazując na taki lub inny ton. Moja mama, choć nigdy nie robiła mi awantur z niczego i zawsze była wobec mnie pełna zrozumienia, wielokrotnie strofowała mnie: „nie tym tonem!”, podczas gdy w tym momencie ja naprawdę nie czułam cienia sugerowanego mi oburzenia czy buntu. Również jako dorosła kobieta jestem bardzo ekspresywna i ruchliwa, dużo gestykuluję, a moje emocje dzielić należy przez co najmniej dwa. Sama, pewnie właśnie z tej przyczyny, nie przepadam za odczytywaniem niuansów czyjejś komunikacji. Nie chcę się pomylić, więc konsekwentnie proszę nowych znajomych o wyrażanie się wobec mnie wprost. Na dłuższą metę, nie mam bowiem cierpliwości do sarkazmu, ironii, fochów oraz kokieterijnych niby-odmów typu „nie rób sobie kłopotu”.

Pandemia pozwoliła mi natomiast zauważyć, że bardzo lubię dotyk. Naprawdę tęsknię za całusem na przywitanie, dotknięciem moich włosów przez koleżankę podczas rozmowy o szamponach, złapaniem za nadgarstek przy wyznawaniu sekretu do ucha. W sumie pasuje to do faktu, że z moim narzeczonym właściwie cały czas mogłabym się przytulać. Oj, trudny to czas dla tak dotykalskich jak ja! Wiem też, że są osoby, które buziaka w policzek czy poklepania po łopatkach nie cierpią. Ci pewnie cieszą się teraz z nienaruszalności dystansu fizycznego.

Dziś spotkamy się z przyjaciółmi online, tak, żeby ich nie tylko przeczytać, ale i zobaczyć. Mam nadzieję na uniesione brwi, parsknięcia, pomruki i tony głosu – nawet te, które źle odczytam.



Odkrycie dnia czternastego

Masz wystarczające narzędzia, by czuć szczęście

Odbyliśmy z przyjaciółmi wideorozmowę, na którą się umówiliśmy. Muszę przyznać, że było prawie tak fajnie jak przy wspólnym stole. Techniczne chochliki, zamiast irytować, dodawały tematów do żartów. Część spotkania spontanicznie przybrała formę wspólnej próby odnalezienia się w chaosie informacji o koronawirusie. Zakładacie rękawiczki, ilekroć wychodzicie z domu? Ola sama zrobiła płyn do dezynfekcji rąk. A to musi być 80% alkoholu? Czy 60? Czekaj, sprawdzę. Ja mam z drogerii, 62, to dobry? Słyszeliście, że wirus żyje w zamrażarce nawet sześć lat? Skubany! Na tekturze podobno kilka dni. My słyszeliśmy, że kilka godzin. Myjecie zakupy? Tak, myjemy. W jak gorącej wodzie? My w normalnej. A ja polewałam wrzątkiem, ale ser w plastrach zrósł się przez to z powrotem w kostkę. Wybuchamy śmiechem. Opowiadam przyjaciołom o wymyślonym przeze mnie sposobie na sprawdzenie dokładności mycia dłoni. Trzeba założyć białe gumowe rękawiczki i wziąć nieco ciemnej farby. Następnie należy umyć nią ręce, jak mydłem, ale z zamkniętymi oczami. Na koniec wystarczy spojrzeć na swoje dzieło – tam, gdzie lateks został biały, mydło nie dotarło.

Wszyscy uwielbiamy ciekawostki, nowinki, triki. Chcemy postępować rozsądnie, nowocześnie i pomysłowo, szczególnie w obecnym, niebezpiecznym czasie. Znamy zalecenia, szperamy w sieci. Wymieniamy się wiedzą z przyjaciółmi. Tak naprawdę jednak chyba niewiele z tego wszystkiego rozumiemy.

Wiedza wirusologiczna większości z nas jest nikła. Poza tym, że należy pamiętać o witaminach i wziąć L4, gdy łapiemy gripę, nie mamy pojęcia o wirusach. Wiedzy epidemiologicznej nie posiadamy wcale. Dokonana na lekcji polskiego analiza „Dżumy” Camusa pomijała owo zagadnienie, a SARS stanowił problem ludzi z drugiej strony globu. Teraz, w ciągu jednej wiosny mamy nauczyć się wszystkiego i zrozumieć coś, co nie ma świadomości czy woli, w dodatku jest tak malusie, że nie widać go gołym okiem, a w miesiąc potrafi zamknąć miliardy ludzi w domach i rozwalić światową gospodarkę. Żarty o szorowaniu zakupów oraz ciekawostki o myciu rąk trafiają na dno ogromnej luki, którą bardzo chcemy zapełnić w jak najkrótszym czasie. Wczoraj śmiałam się do rozpuku, gdy przekomarzaliśmy się o minimalną ilość alkoholu w środku do dezynfekcji dłoni, dziś jednak rozmyślam o tym, że i jako paczka przyjaciół, i jako ludzkość kompletnie nie rozumiemy tego wirusa, nie znamy go. Po omacku wdramy kolejne rozwiązania, które mają uchronić nas przed zarażeniem. Na tak zwanego czują luzujemy obostrzenia, nerwowo zerkając na słupki i ważąc słuszność naszych decyzji. Walczymy z kimś, kto jest niczym podstępny duch, jak postać z kreskówki, wymyślona, nierealna, obrazowana w zabawny, symboliczny, rysunkowy sposób.

Podobno koronawirus chowa się w lipidowej otoczce. Mydło i ciepła woda rozpuszczają ten tłuszcz, odsłaniając ów bezbronny wirusik, który momentalnie ginie. Wyobrażam sobie go wtedy jako kryształek soli zamoczony w gęstej oliwie. Gorąca piana pozbywa się śliskiej cieczy i rozpuszcza sól. Nietrudno było stworzyć taką wizję – obserwuję przecież podobny proces, gdy szoruję patelnię. Nadal nie doczytałam jednak, w jaki sposób koronawirusa wykańcza alkohol. Widzę w głowie tę sól w oliwie i za nic nie mogę zrozumieć, jak miałby im zaszkodzić

kieliszek wódki. Mimo to, gdy wsmarowuję żel dezynfekujący w dłonie, wyobrażnia działa. Myślę o mikroskopijnych, niebieskich, kolczastych kuleczkach (tak wirus wygląda na grafikach w mediach), które znikają spomiędzy moich palców. Może nawet wydają cichutki jęk?

Zawsze lubiłam świat swoich fantazji. Może to z powodu bycia jedynaczką? Jako dziecko nieraz całymi dniami musiałam bawić się sama ze sobą. Nauczyłam się wizualizować rozwiązania problemów, personifikować przedmioty. Nie mam wyimaginowanych przyjaciół i nie mówię ani trochę poważnie, sugerując pojękiwania cząstek wirusa. To tylko taka zabawa, która sprawia, że życie wydaje mi się łatwiejsze, świat – przyjaźniejszy, a problemy – prostsze do rozwiązania. O wiele przyjemniej jest mówić, że szczypiołek bardzo chce być zjedzony, niż że zaczyna wędznąć. Nadawanie prostym procesom nowego znaczenia ubarwia codzienność i uczy cieszyć się z małych rzeczy. Interpretowanie tępego patrzenia psa przez okno jako wnikliwej obserwacji życia społecznego bawi do łez. Wspaniała misja udzielenia Mai pomocy w znalezieniu drogi do domu jest o niebo atrakcyjniejsza niż obowiązek wygonienia potrafiącej użądlić pszczoły z pokoju. Gdy do moich żył skapywała chemioterapia, wyobrażałam sobie, że przesuwam ciężką szafę, po troszeczkę, ale skutecznie. Koleżanka z leżanki obok mówiła, że w głowie widzi malutkich żołnierzyków, którzy dokopują rakowi. Nie widzę w tym nic złego. Jestem artystką – bez wyobraźni byłoby mi o wiele trudniej wykonywać pracę zawodową. Marzę o rzeczach wielkich, ba, wierzę, że jestem w stanie je osiągnąć. „Typowy twój świat fantazji”, kwituje czasem moje myślenie Maciek.

Ta moja umiejętność od zawsze traktowana bywa przez innych pobłażliwie. Niektórzy śmieją się, że mimo bycia dojrzałą kobietą, w głębi duszy jestem pięciolatką. Czy jednak świat fantazji jest dla mnie ucieczką od wyzwań dorosłości? Absolutnie nie. Jestem daleka od rozwiązywania problemów ucieczką. Odkładanie spraw na później zwykle kończy się komplikacjami, a przeprowadzka na drugi koniec kraju to marny sposób na ominięcie sideł, jakie zastawiło życie. Mój cel jest inny: być szczęśliwą, czuć spełnienie, dbać o jak najwyższą jakość życia tu i teraz, zbliżać się do swoich celów i wizji Agi, którą jeszcze bardziej chciałabym być.

Mówią, że wciąż trafiamy w jakiś dyskomfort, w obrębie którego szukać winniśmy komfortu. Nie podoba mi się nihilistyczna wymowa tej myśli, ale dostrzegam jej mądrość w temacie dążenia do szczęścia i niezaprzeczalnej możliwości myślenia zdrowiej, lepiej, spokojniej. Skoro istnieją uśmiechnięci ludzie w gorszej sytuacji niż my, skoro potrafiliśmy otrząsnąć się z praktycznie każdej przykrej sytuacji z naszej przeszłości, nawet mimo braku poprawy w jej kwestii, to przecież tak, oczywiście, na pewno możemy być szczęśliwi. Mamy ku temu odpowiednie narzędzia. Nie znajdują się one wokół nas, czego dowodzi fakt, że po świecie chodzi wielu smutnych bogaczy. Narzędzia do bycia szczęśliwym są w środku, w nas. Każdy może poczuć się lepiej, jeśli postara się nie skupiać nadmiernie na strachach, nie nakręcać się w swojej złości, nie oceniać innych, nie identyfikować czyjejś opinii na temat swojej osoby z tym, kim naprawdę jest. Dziś, zaciekawiona memem o trzmielem, przypadkiem dowiedziałam się,

że powierzchnia skrzydeł tego uroczego owada jest kilkukrotnie za mała, by mógł on wzbić się w powietrze. Tak dowodzą badania. A trzmiel lata. W moim świecie fantazji robi to, bo uwierzył w siebie. W rzeczywistości trzmiel nie ma jednak pojęcia o relatywnych ograniczeniach. Nie wyczekuje na idealny moment. Nie siedzi i nie analizuje. Nie mówi „Maju, ale masz duże skrzydełka, zazdroszczę ci”. Po prostu macha z całych sił, wzbija się w górę i leci.

Smuci mnie to, jak wielkie nieszczęście nie tylko wywołała, ale i odsłoniła pandemia. Ona jest jak Buka, która złowieszczo sunie, powoli zamrażając muminkową dolinę. Po jej przejściu świat jest skuty nieruchomym lodem. Znowu myślę o trwającej fali rozwodów. W wielu domach unikana dzięki wieloletniemu mijaniu się w drzwiach konfrontacja pokazała, że miłość wygasła, a życie razem nie przynosi już radości i ukojenia. Czytam o tych, którzy teraz nienawidzą swojego szefa jeszcze bardziej. O wzmagającym się przez zamknięcie obniżeniu nastroju. Boimy się zmian, wypowiedzenia głośno tego, co nam przeszkadza, mamy trudność z odrzuceniem tego, co nam nie odpowiada, co nie zbliża do wymarzonych celów. Większość z nas wychowano do życia nie tu i teraz, tylko w przyszłości – pracuj ciężko, nie obijaj się, nie marnuj czasu, nie snuj się w piżamie, to kiedyś w końcu spijesz śmietankę, wydasz odłożone pieniądze, poświęcisz się swojej pasji, poleniuchujesz. Mijają kolejne dekady, a upragnione ukoronowanie wieloletnich starań nie nadchodzi, bo zawsze można odłożyć więcej, popracować dłużej, zrobić remont, wymienić samochód. Nie jestem zwolenniczką osiadania na laurach, jednak leżąc dwa lata temu w szpitalu i gadając ze swoim rakiem, uświadomiłam sobie, że na nic mi oszczędności, będące liczbą w bankowej aplikacji. Dysponujemy ograniczonym czasem, który musimy zagospodarować – pisałam już o tym kilka dni temu.

Gdy niema Buka wraca tam, skąd przyszła (czyli chyba nie wiadomo gdzie), świat powolutku taje. Nie jest już taki jak wcześniej, bo odmrożony wygląda i funkcjonuje nieco inaczej. W końcu jednak zieleni się i kwitnie. Pandemia pozwoliła mi docenić dom i czas spędzony ze sobą, zatęsknić za bliskimi, jeszcze lepiej poznać tych jeszcze bliższych, uszanować różnice lub po prostu się z nimi pogodzić, nabrać szacunku do wszechmocnej natury, skupić się na zasługujących na to drobnostkach, ostatecznie pozwolić sobie na bycie sobą, zaplanować swój pozostały czas, świadomie ustalić relacje z innymi oraz pozwolić sobie na bycie szczęśliwą. Czy Buka może przyjść znowu? Pewnie, lecz nie warto spędzać życia na pielęgnowaniu tego widma. Świat to nie pierogi, które od tygodni trzymamy w zamrażarce na najczarniejszą godzinę tych złych i nieprzewidywalnych czasów – można zamrozić go drugi i trzeci raz, po każdym razie jemu pozwolić odtajać, a nam się w nim rozsmakować.
